Cena 80 groszy

NUMER POŚWIĘCONY PAMIĘCI KAROLA SZYMANOWSKIEGO

Dziś 10 stron

WIADOMOSCI LITERACKIE

TYGODNIK

Prenumerata kwartalna zł. 9.— z przesyłką pocztową. Konto w P.K.O. nr. 8.515 Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 73 Administracja Warszawa, Królewska 13 W Warszawie prenumeratę można zgłaszać telefonicznie nr. 223-04

Nr. 1 (740) Warszawa, Niedziela 2 stycznia 1938 r. Rok XV

KAROL SZYMANOWSKI

WSTĘP DO PAMIĘTNIKA

Z papierów pośmiertnych

W ostatnich miesiącach życia Szymanowski przystąpił do pisania pamiętnika. Zamiaru tego jednak nie dane mu było dokonać. Z zamierzonego dzieła pozostał jedynie szkic do wstępu. Jak wielką wagę do tego wstępu przywiązywał Szymanowski, widać już z tego, iż szkic ten opracował w trzech warjantach. Dwa bruljony, jeden dłuższy, drugi bardziej opracowany lecz krótszy, wreszcie początek przepisany na maszynie, obejmujący jednak tylko 44 linijki pisma maszynowego. Pozostała również luźna kartka z dwoma epizodami, wprowadzonemi przez nas do tekstu, i dalszy plan pamiętnika skreślony nieczytelnem pismem.

Pamiętnik Szymanowskiego nie miał obejmować czasów jego dzieciństwa i młodości. Autor chciał go rozpocząć od przyjazdu swego do Polski, t. zn. od grudnia 1919 r. Tem samem dzieło to miało być poświęcone raczej „doświadczeniom artysty, które się zbiegły z chwilą odrodzenia Polski". Obejmować widocznie miało epokę walk polemicznych Szymanowskiego o muzykę polską i czasy jego rektorstwa w akademji muzycznej.

Główny zrąb wstępu napisany jest na arkuszu papieru kancelaryjnego dość czytelnie, atramentem. Na marginesach znajdują się uwagi i uzupełnienia stylistyczne pisane ołówkiem. Uwzględniliśmy je w tych wszystkich wypadkach, kiedy zostały odczytane.

Staranny stylista, Szymanowski dobierał zawsze słów i wyrażeń. Stąd często dwa słowa napisane nad sobą lub obok siebie. W wypadkach kiedy jedno z nich nie zostało skreślone, podajemy oba — jedno z nich w nawiasie.

Jarosław Iwaszkiewicz.

Od dłuższego już czasu powziąłem myśl napisania wspomnień z mojego życia. W niniejszym — dość szeroko pomyślanym — wstępie postaram się możliwie jasno przedstawić zasadnicze motywy, które skłoniły mnie ostatecznie do podjęcia tego, dość trudnego i kłopotliwego w gruncie rzeczy, zamierzenia. W każdym razie nie zrodziło się ono z jałowej chęci zapełnienia pustych i głuchych godzin „nicnieróbstwa" byle czem: lirycznemi wynurzeniami lub bezplanowem notowaniem jakichś ciekawszych przeżyć. Takich godzin nigdy nie miałem zbyt wiele w pracowitem i niełatwem życiu — temi zaś, które mi jeszcze pozostały, należy rozporządzać mądrze i oszczędnie. Zamiar ów nie wyrósł również z przesadnego poczucia własnego znaczenia i odegranej w dziejach sztuki polskiej roli.

Zastanawiałem się nieraz nad tem że niema tak szarej egzystencji, tak skromnego człowieka, którego dzieje spisane własną ręką, bez żadnych literackich pretensyj, najkoślawszym bodaj stylem, nie posiadałyby niewątpliwej wartości, nie stanowiły cennego „dowodu prawdy" — zwłaszcza dla późniejszych pokoleń — jako dokument historyczny niezmiernej wagi. Stają się one precyzyjnym instrumentem badań nad najdrobniejszym odcinkiem danej rzeczywistości dziejowej, nad jej „mikrostrukturą" społeczną, która w ogólnej sumie zdarzeń decyduje nieraz ostatecznie o losach całości, podobnie jak faktyczny stan komórek żywego organizmu stanowi o jego istnieniu. Z tego punktu widzenia zwierzenia „szarego człowieka" mogą się nieraz okazać bardziej rewelacyjne od wspomnień niejednego z głośnych protagonistów historji.

Mówiąc szczerze — nie uważam się, rzecz prosta, za jednego z tych „najskromniejszych", egzystencję moją też trudnoby nazwać szarą. Życie twórczego artysty ma w sobie zawsze coś z awanturniczej przygody, nawet gdy chodzi jedynie o „przygodę" i „awanturę" wewnętrzną — na terenie zmagań o własną treść i formę. W życiu muzyka owa „przygoda" — w znaczeniu bardziej już realistycznem i zewnętrznem — staje się często niemal jego chlebem powszednim (jakże nieraz gorzkim i trudnym do strawienia!). Zawodowe (powiedzmy raczej: zarobkowe) konieczności zmuszają go do licznych podróży, nie stanowiących wytchnienia i odpoczynku jak dla turysty — przeciwnie: włóczęgi te, to ciężka praca, wzmożona aktywność, konieczność przezwyciężania napotykanego oporu i każdorazowo opanowania nowej sytuacji, to przenikanie w coraz to nowe środowiska i bystre orjentowanie się we właściwym im „stylu" życia; wreszcie to doskonała sposobność spotkania i zbliżenia się z ogromną ilością bardzo nieraz wybitnych ludzi. W ten sposób stosunek do podróży staje się niejako czynny a nie bierny...

Nie ulega wątpliwości, że pod względem **obserwacyjnym** jest to sytuacja wymarzona. Widnokręgi się rozsuwają — jak ruchome dekoracje na nieobjętej scenie życia (świata), ukazują coraz to dalsze plany i perspektywy, demaskując niejedno „trompe-l'oeil" — w którem mogło się żyć wygodnie i statecznie, przysparzając wciąż nowych doświadczeń — i wreszcie zmuszając — à contre-coeur nieraz — do rewolucyjnych przewartościowań ustalonych zdawało się prawd. Tak zasięg obserwacyj staje się niezmierny — chodzi więc jedynie o to, jakie się z tego wyciągnie wnioski!

Pomimo owych niewątpliwych zdobyczy, analogja losów wybitnego nawet artysty z losem owego „najskromniejszego" człowieka polega jednak na tem iż w stosunku do wyżej wspomnianego „najdrobniejszego odcinka" rzeczywistości, mówiąc poprostu — wobec zagadnienia praktycznego życia, znajdują się oni obaj w jednym szeregu, w obliczu tych samych trosk, zmagań i wysiłków, nie zasłania mu ich fakt **wyjątkowości** jego stanowiska (co jest nawiasem mówiąc, możliwe i prawdopodobne w zastosowaniu naprzykład do wybitnego męża stanu — ten bowiem działa często wbrew istniejącemu niejako „status quo" — w atmosferze pewnego rodzaju fikcji ideowej, która — skoro los chce że jest przytem genjuszem — zaklęciem jego woli staje się skolei rzeczywistością, skoro zaś nim nie jest — przeistacza się w nieuniknioną katastrofę). Dla artysty — zwłaszcza zaś pisarza — pilna obserwacja tej mikrostruktury jest jednym z najważniejszych składników tej „matière première" z której kształtuje swe dzieło. Dla innych dziedzin sztuki — stosunek ten jest mniej bezpośredni, równie jednak istotny [1]).

Z drugiej strony konieczność kształtowania właśnie tego materjału w jakąś określoną, **jednoznaczną** całość zmusza go do coraz bardziej syntetycznego ujmowania zjawisk, do ujawniania, napięć kierunkowych działających w danym momencie sił [2]).

To nieustanne wyciąganie wniosków z życiowych doświadczeń zapewnia mu swoistą przewagę nad „najskromniejszym człowiekiem" — przewagę **wartościowania zjawisk**, w pewnym sensie „sub specie aeternitatis", ujawniania ich hierarchji i perspektyw. Z tego punktu widzenia rzetelny artysta jest — jakkolwiek wydawałoby się to paradoksalne — jedynym **realistą życiowym,** jedynym zachowującym równowagę i niezależność pomiędzy **rządzącymi i rządzonymi,** a więc elementem normującym zjawiska, w najgłębszem tego słowa znaczeniu — co zresztą stokrotnie stwierdziły dzieje sztuki. Stanowisko jego podobne jest — proszę mi wybaczyć patos tego porównania — do **kosmicznego** stanowiska, jakie współczesna fizyka wyznacza człowiekowi we wszechświecie: gdzieś współdrogi pomiędzy otchłanią makro- i mikrokosmosu. Dlatego być może tak głęboko i beznadziejnie patrzy w obie te otchłanie u stóp i nad głową...

Wynika z tego pewna dwuznaczność sytuacji artysty-twórcy. Zanurzony w odmęcie praktycznego życia, w jego drobiazgowej „względności" musi walczyć o wartości — „bezwzględne", nadrzędne. Konieczność kształtowania tej „matière première" — czerpanej bezpośrednio z życia — w jakąś określoną jednoznaczną całość — zmusza go (do) wynurzania się ponad ten odmęt — który grozi mu zawsze pochłonięciem — do ogarnięcia go szerokiem spojrzeniem...

Są to wszystko „des vérités de Monsieur de la Palisse", były mi jednak niezbędne dla wytłumaczenia, dlaczego osobistym moim wspomnieniom postanowiłem nadać zgóry niejako narzuconą formę, ująć je w karby pewnej dyscypliny, która postawiłaby tamę naturalnej zresztą u każdego skłonności do lirycznej rozlewności i zbyt intymnych wynurzeń, podkreślając natomiast najważniejsze momenty mojej psychiki ujawniła zasadniczy kierunek, w którym zawsze starałem się dążyć. Następnie zaś, dlaczego, po długim namyśle, postanowiłem ograniczyć moje wspomnienia do pewnej epoki mojego życia, mianowicie rozpocząć je chwilą mojego definitywnego powrotu do Polski, z końcem 1919 r.

W samej rzeczy — zastanawiając się często nad... istotną sprawą: jak ma wyglądać ostatecznie ten mój autoportret, — przedstawiony z pomocą własnych, literacko dość skromnych środków, utkany z własnych słów, myśli, zwierzeń, mniej lub więcej ważnych życiowych zdarzeń — dochodziłem chwilami do wniosku, że to zadanie jest ponad siły. Rzecz — zdaniem mojem — polega na tem że **literacki wyraz człowieka,** prawdziwego czy też wyimaginowanego (w powieści) — w jego najgłębszej, transcendentalnej — powiedzmy — treści, może być jedynie dziełem wielkiego talentu pisarskiego, a właściwie **genjuszu.** Ów najistotniejszy „klimat", właściwa aura danego typu ludzkiego, ów tajemniczy, nieznany (?) pierwiastek (rdzeń), **nieposłuszny żadnym z wpływów środowiska,** wyzwolony z fatalnej siły **przypadku,** stanowiącej bądźcobądź decydujący element fabuły życiowej, nie ulega w istocie rzeczy żadnemu racjonalistycznemu ujęciu, nie da się wyrazić (zamknąć) jakąkolwiek formułą logiczną ani żadnym związkiem przyczynowym. Jest w istocie swej **irracjonalny** — jeżeli chodzi o odtworzenie go — i dlatego dostępny jedynie dla intuicji genjusza. Sądzę że w literaturze pięknej ową „kwadraturę koła" udało się rozwiązać w stu procentach jedynie Szekspirowi (w „Hamlecie") a przedewszystkiem Dostojewskiemu. Tem się tylko daje wytłumaczyć straszliwa, posępna a nieodparta sugestywność tego pisarza — pod względem fachowym, konstruktywnym, czysto „pisarskim" nie należącego z pewnością do najlepszych. To jego wizjonerskie spojrzenie na „integralnego" człowieka stanowi niejako magiczną formułę, z pomocą której ujawnia się nagle ukryty sens najparadoksalniejszych pozornie zdarzeń, stanowiących splątaną treść jego wewnętrznego życia.

Jeżeli pozwoliłem sobie sięgnąć tu do tych wspaniałych nazwisk, tych niesłychanie decydujących w dziejach ludzkiej twórczej myśli, to dlatego jedynie, iż poza tą „integralną" koncepcją człowieka w słowie (będącą rezultatem intuicji genjusza) — każda inna jest w założeniu niedoskonała i mija się z zasadniczą prawdą o człowieku, rozbija go bowiem na poszczególne składniki: mówi o tem co ów prawdziwy czy wyimaginowany człowiek myśli, co czuje, co robi, z czego się składa zewnętrzne jego życie. Cała oszukańcza, zawodna „wieloznaczność", „różnostronność" człowieka w jego praktycznem życiu, w tem czem on jest dla innych, otaczających go ludzi, rzuca się przedewszystkiem w oczy i zasłania jego najgłębszą istotę. Wszystko bowiem wówczas zależy od **interpretacji** — od położenia nacisku na tę czy ową cechę, na taką czy inną jego reakcję wobec przypadkowego zdarzenia, na wpływ środowiska, moment historyczny i t. d. Dla nadania **całości** tym rozbieżnym elementom życia, nadania ciągłości jego losom, układa się poszczególne zdarzenia według pewnej linji ewolucyjnej, ujętej w doskonały (pozornie) związek przyczynowy — mającej niejako reprezentować „nieubłagany los". Rzecz jednak w tem że ów „determinizm" jest sztuczny, jest podświadomem poszukiwaniem „formy" zamkniętej w sobie, konstruktywnego pierwiastka dzieła sztuki. Jest to niezmiernie charakterystyczne w powieściach końca XIX w., gdzie pozornie „głęboka" psychologiczna analiza jest w istocie swej założoną (wyłączającą wszelką przypadkowość) zgóry formułą niemal matematyczną, dającą w rezultacie nieuniknione $2 \times 2 = 4$.

To wszystko bardzo piękne, ale — słyszę niemal pytanie — dlaczego jednak mówię o tem tak obszernie, zamiast zacząć od słów: „Urodziłem się tam, a tam, w takim a takim roku Pańskim"... Rzecz w tem, że powieść czy monografja poświęcona człowiekowi rzeczywiście istniejącemu, taka automonografja czy pamiętnik są w zasadzie zjawiskami analogicznemi. Sucha, mechaniczna kronika faktów składających się na czyjeś życie w zasadzie pozbawiona jest wszelkiego interesu — chyba w rzadkich wypadkach, gdy los ten składa się z nieprawdopodobnych fantastycznych przygód — natomiast życie **każdego** człowieka jest ciekawe, skoro się ujawni jego kierowniczą ideę, wewnętrzną konstrukcję, napięcie.

(Na marginesie). Muszę wybrać jedną z „interpretacyj" i w jej wyborze kierować się pewną utylitarnością, tem mianowicie co w mej istocie jest decydującem, czynnikiem dynamicznym i aktywnym, wpływającym na przebieg zjawisk na pewnym odcinku rzeczywistości. Jest tem **napewno** moja twórczość i stosunek do otaczających mnie zjawisk (krytyczny) wypływający z takich czy innych założeń. To trzeba uwypuklić i uwydatnić z kompleksu zdarzeń stanowiących moje życie.

Otóż ja wobec moich zamierzeń — znalazłem się w sytuacji nieszczególnego powieściopisarza któremu narzucono temat przerastający jego (siły) możliwości. Stoję poniekąd bezradny wobec ogromnego bogactwa mego wewnętrznego i zewnętrznego życia, wiedząc zgóry że nie stać mię na tę „magiczną formułę" — zapomocą której ci najwięksi w sztuce pisarskiej „objawiają" niejako duszę ludzką w jej najistotniejszej niezmiennej treści, nie licząc się nieraz z logiką (kolejnością) zdarzeń. Siłą rzeczy pozostaje mi więc jedna z licznych możliwych „interpretacyj" mojej osobowości (co nie znaczy bynajmniej by była naskutek tego fałszywa) a którą udałoby mi się osiągnąć zapomocą eliminacji elementów nieistotnych — nie z punktu widzenia mego życia, ale jedynie z punktu widzenia zadania które sobie obecnie stawiam, to znaczy napisania książki o sobie.

Karol Szymanowski.

[1]) Dzieło sztuki wrasta koniecznie w swą epokę bez względu na to iż musi nosić cechy wieczności.

[2]) Tem samem wynosi na coraz wyższe stanowisko obserwacyjne.

KAROL SZYMANOWSKI

KAROL SZYMANOWSKI
fot. Eugenja Saloweiczyk

KAROL SZYMANOWSKI

KAROL SZYMANOWSKI

KAROL SZYMANOWSKI
fot. Eugenja Saloweiczyk

KAROL SZYMANOWSKI

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Karol Szymanowski na Sycylji

...vous chercheriez encore longtemps le bonheur impossible des âmes (André Gide)

Przed samą wielką wojną odbył Szymanowski podróż na Sycylję, która miała w jego życiu znaczenie przełomowe i na całej jego późniejszej twórczości położyła zasadnicze piętno. Że tak jest, wykaże nam proste porównanie spisu jego późniejszych utworów z opisem turystycznym zwykłej trasy sycylijskiej, przeznaczonej dla cudzoziemców. Wpływ ten jednak był o wiele ważniejszy i sięgał o wiele głębiej niż wykazywaćby mogło zewnętrzne zestawienie przedmiotów. Z tej wiosny sycylijskiej Szymanowski czerpał nie tylko ciepło i podniety twórcze na długie cztery zimy spędzone w Rosji, pogrążonej w grozę wojny i chaos rewolucji, ale miała ona zasadnicze znaczenie dla dojrzewającego umysłowo człowieka i stanowiła przełom w całym systemie myślowym kompozytora. Dla filozofji Szymanowskiego poznanie Sycylji było epoką.

Dziwna to ziemia pławiąca się w słońcu, na morzu, rozprażona, od zimy okryta kwiatami. Całe połaci kultury leżą tu na sobie, obok siebie, przedziwnie w sobie pomieszane. Zaczynając od kultury przedgreckiej, poprzez Kartagińczyków, Rzymian, Arabów, Bizancjum, Normanów, Niemców, Francuzów — wszystko się tu miesza stopione w żarze słońca, wina i w zapachu pomarańczowego kwiatu. A nad wszystkiem góruje jedna kultura, która wyspie śródziemnomorskiej fizjognomję zasadniczą nadała — wielka kultura grecka. Ona urobiła w swoim czasie kształt sycylijskiego rolnictwa czy żeglarstwa i pieczęć greckiej sztuki na zawsze odbiła w niebieskim cieniu jej gór, na zielonych polach pszenicy i purpurowych łanach koniczyny. Zamarła i zastygła raz na zawsze w świątyniach i teatrach Syrakuz, Agrygentu, Selinuntu, Taorminy i Segesty.

Otacza te ruiny nie tylko poetycka legenda, ale i wieczne życie, zaklęte w kamienie poświęcone greckim bóstwom. Mieszka tu także jedyna na świecie afirmacja życia, z której rodzi się wiara w wieczyste prawdy Erosa.

Szymanowski nie miał wykształcenia klasycznego, nieraz wyrażał żal z tego powodu. Zetknięcie się z resztkami kultury greckiej na Sycylji zastąpiło poniekąd to wykształcenie: spowodowało ono zwrócenie się jego do lektury antycznej, której pierwszy pochop napewno dała dawno ukochana książka „Narodziny tragedji" Nietzschego. Przedewszystkiem [illegible] „Odyseja", Platon, Eurypides — a także z entuzjazmem wchłaniane i bardzo wysoko przezeń cenione szkice prof. Tadeusza Zielińskiego. Slady tej lektury znajdujemy potem w twórczości Szymanowskiego.

Jaki był zewnętrzny wpływ sycylijskich pamiątek na spis dzieł muzyka? Nie wiem jak podróżował po Sycylji Szymanowski, zazwyczaj jednak trasa cudzoziemców jest jednakowa i od r. 1914 do dzisiaj się nie zmieniła. Prowadzi ona z Neapolu do Palermo, stamtąd do Taorminy, dalej do Syrakuz, z Syrakuz do Agrygentu, potem poprzez ruiny świątyń w Selimuncie i Segescie z powrotem do Palermo. Każde z tych miast ma swoją kartę w dziele Szymanowskiego.

Największemi osobliwościami Palermo są metopy świątyń z Selinuntu, przewiezione do muzeum tutejszego, „Capella Palatina", arcydzieło króla Rogera, oraz grób tego króla i jego potomstwa w katedrze panormitańskiej. Taormina posiada ruiny teatru grecko-rzymskiego, przypominające opis dekoracyj trzeciego aktu opery Szymanowskiego. W Syrakuzach z hotelu, gdzie się zatrzymywał Szymanowski, wychodzi się wprost na półkole szemrzącej czarnej wody, pełnej papirusów i gołębi — jest to źródło Aretuzy, „la fontaine d'Aréthuse", która dała Szymanowskiemu tytuł do jednego a pochop do wszystkich trzech „Mitów". Agrygent ma swój najosobliwszy pejzaż — jak Szymanowski zawsze mówił: „pejzaż z „Odyssei" — morze błękitne, brzeg czerwony, pszenne szmaragdowe pola i po brzegu rozsiadłe woskowo żółte świątynie, ciągnące się długim szeregiem. Tu mogła płakać Kalipso, tu mogły śpiewać Syreny, tu Nauzykaa swoją wesołą zabawę w piłkę — przemieniać w śpiew identyczny z żalami Kalipso. Wreszcie świątynie Selinuntu, a zwłaszcza samotnie w głuszy górskiej stojąca nigdy niedokończona świątynia w Segescie, zostawiły niezapomniane do końca wrażenie.

„Metopy" Szymanowskiego nazwę swą więc wzięły od owych słynnych płaskorzeźb przechowywanych w muzeum panormitańskiem. Widzimy tam trzy metopy z w. VI przed Chr., cztery niezmiernie piękne z najlepszej epoki greckiej (z w. V przed Chr.) i fragmenty innych. Na żadnej z tych monumentalnych płaskorzeźb selinunckich nie znajdujemy motywów pokrewnych tematom „Odysei". Tymczasem u Szymanowskiego „Metopy" op. 29 noszą nazwy „Callypso", „L'île des Sirènes", „Nausicaa", czyli wszystkie trzy napisane są pod wpływem lektury „Odysei". Jeżeli ich zbiorowy tytuł powstał w muzeum w Palermo, to ich emocjonalną treść podsunął pejzaż Agrygentu osobliwy i głęboko przemawiający do wyobraźni artystycznej [1]).

„La fontaine d'Arèthuse" — pierwszy z „Mitów" (op. 34) Szymanowskiego — urodziła się z kontemplacji czy ze wspomnienia owego źródełka w Syrakuzach, tryskającego u samego brzegu morza a otoczonego taką piękną legendą. Dwa następne utwory, zamieszczone pod tym samym opusem, są także produktami zainteresowań mitologicznych, do których pobudką były pejzaż i sztuka sycylijska.

Niewątpliwie i w skrzypcowej „Tarantelli" odbiły się echa podróży włoskiej. W Taorminie w sezonie odbywają się pokazy tarantelli na placykach miasteczka, przed winiarniami i kawiarniami.

Najważniejszym jednak produktem sycylijskich wrażeń i rozmyślań Szymanowskiego jest jego dramat muzyczny „Król Roger", mający za bohatera władcę sycylijskiego XII w. Osobliwe to dzieło, poza swoją wybitną wartością muzyczną, posiada głęboki sens filozoficzny i religijny, tem samem wśród dzieł Szymanowskiego nabiera zupełnie specjalnego znaczenia [2]).

Zewnętrznie odnajdziemy ślady panormitańskie nie tylko w centralnej postaci Rogera, lub jego przyjaciela arabskiego mędrca Edrisiego, ale i w samej dekoracji. Akt pierwszy, to słynna „Capella Palatina" z jej połączeniem starożytnych kolumn, romańskiej architektury Normanów, arabskich ozdób i napisów oraz bizantyjskich mozaik z przeraźliwą twarzą Chrystusa Pantokratora (wszystkorządcy) w głębi. Chociaż opis Szymanowskiego jest dość ścisły, można doszukać się w tej pierwszej dekoracji także ech wspaniałej katedry w Monreale położonej tuż nad Palermo, gdzie zamilkły już wpływy arabskie; tem osobliwsza jest kombinacja architektury normandzkiej ze starożytną i z bizantyjskim przepychem mozaik. Akt drugi nie ma już tak wyraźnych odpowiedników w rzeczywistości dzisiejszego Palermo. Dałyby się po arabsku zrekonstruować pewne fragmenty pałacu królewskiego, kościoła św. Jana degli Eremiti, Martorany (która to świątynia odgrywa specjalną rolę w pięknej legendzie Szymanowskiego o św. Porfirym) i t. d. W tem samem muzeum, gdzie przechowywane są metopy z Selinuntu, znajdujemy w sali arabskiej fragmenty starych domow panormitańskich z przecudowną arabską „moszarabieh", drewnianemi odrzwiami we wschodnim stylu i piękną maurytańską urną, które mogły nasunąć Szymanowskiemu wizję napół wschodniego dworu Rogera II. Trzeci akt, którego dekoracja przedstawia ruiny teatru greckiego na Sycylji, mógł mieć bardzo wiele pierwowzorów, za Taorminą przemawia niepokojąco piękna sytuacja pejzażowa teatru, za Syrakuzami — piękno samego teatru, podobnego do misy rzeźbionej w kamieniu, wreszcie za Segestą — położenie w po wagnerowsku pustynnej dziedzinie oraz sąsiedztwo „niedokończonej" świątyni, która wstrząsa swoją samotnością i tchnie obecnością wygnanych bóstw. Pomimo iż Szymanowski w jednym ze swoich listów wyraźnie powołuje się na teatr w Syrakuzach jako na pierwowzór tej scenerji, jednak odnaleźć w niej można elementy wszystkich wymienionych wyżej teatrów.

Moment pobytu Szymanowskiego na Sycylji przypada na chwilę zmęczenia duchowego artysty; zmęczenie to wyraża się w pewnem przekomplikowaniu

KAROL SZYMANOWSKI
w r. 1911

powstałych w owej epoce utworów. Był to także moment dojścia do martwego w pewnym sensie punktu. Epoka, której szczytami były druga sonata i druga symfonja, zamykała się. Zarazem kończyły się wpływy niemieckie, Brahms i Richard Strauss przestawali mieć siłę atrakcyjną, i powstawała pewna próżnia. (To samo z poezją niemiecką). Umysł Szymanowskiego, szkolony dotychczas na myśli niemieckiej, odczuwa pewną jej niedostateczność, jej odległość od łacińskiej przejrzystości. Szymanowski załamuje się jak bohaterowie „Próchna". Parę dziesiątków lat przedtem ten sam proces przeżył Stefan George — dzieje myśli George'a i Szymanowskiego biegną prawie równolegle.

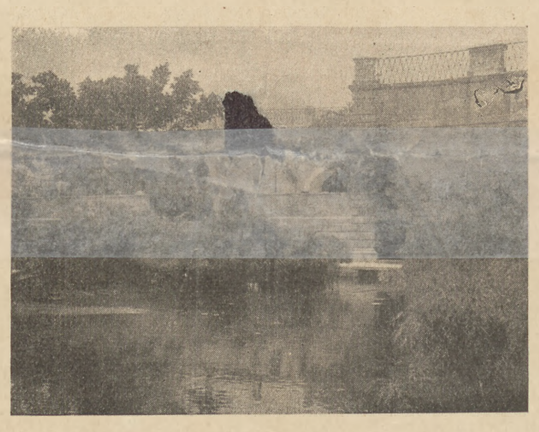

Źródło Aretuzy

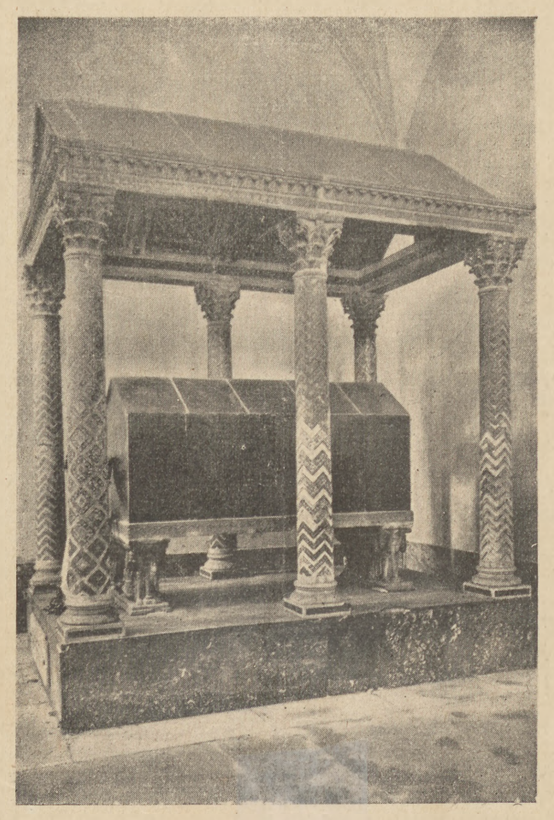

Grobowiec Króla Rogera w Palermo

Moment tej próżni u Szymanowskiego stał się jednocześnie momentem poszukiwania. Cała jego sztuka oparta jest na tak głębokim kośćcu myślowym i na takiej wierze w posłannictwo artysty — że jakiekolwiek zachwianie się tej myśli równało się zachwianiu samych podstaw jego sztuki. Toteż kryzys przypadający na lata 1912 — 1914 jest bardzo głęboki. Ale młoda natura i aktywna myśl Szymanowskiego szuka lekarstwa w nowej wierze. Szymanowski w swojej włoskiej podróży staje się typowym poszukiwaczem mitu. Szuka mitu, któryby mógł nadać znaczenie jego sztuce i pomógł mu walczyć o to znaczenie.

I wtedy, wiedziony szczęśliwym trafem czy też głęboką intuicją, styka się z krajem, który sam jak gdyby jest urzeczywistnieniem mitu. Na Sycylji objawia mu się istota sztuki — w pięknie greckiej świątyni, arabskiego sufitu, bizantyjskiej mozaiki — wszędzie jednakowa. Odczuwać poczyna świat metafizyczny, który do objawienia w pięknie dochodzi. Równie jak George wierzyć przytem zaczyna, że piękno platońskiej idei wyrazić się może w pięknym człowieku — i oto powstaje myśl o pięknym pasterzu, znającym poza sztuką Greków, Arabów czy Normanów tajemnicę świata prawdziwego, ponadzmysłowego, do którego przez swe urodzenie się w pięknie należy. Tak powstał wielki mit estetyczny wyrażony w „Pasterzu" Szymanowskiego.

Kiedy po powrocie do Rosji zaczyna się interesować literaturą dotyczącą Włoch, w ręce wpadają mu (oprócz słynnych „Oczerkow Italji" Muratowa i „Promenades archéologiques" Diehla, które mu dostarczały materjału faktycznego) szkice prof. Zielińskiego — potwierdzenie jego myśli o objawieniu Boga w pięknie, myśli tak długo w nim nurtującej. I jeszcze — także za pośrednictwem prof. Zielińskiego, którego rosyjski przekład Eurypidesa wtedy się właśnie ukazał — przyszły „Bachantki", a w nich wielka rozmowa Penteusza z Dionizosem, tak wspaniale przez prof. Zielińskiego oddana, która przez perwersyjność swą i grozę jest unicum w literaturze świata.

W lecie 1918 r. projekt „Króla Rogera" dojrzał w głowie Szymanowskiego. Cztery lata dzieliły go wtenczas od wrażeń sycylijskich, lata wojny. Zimy spędził Szymanowski w Petersburgu, Moskwie, Kijowie i wreszcie w Elizawetgradzie, ale na letnie miesiące mógł jeszcze wracać do Tymoszówki. Zapewne pszenne i upalne pola Ukrainy także mu przywodziły na myśl łany sycylijskie. Bo przecież Ukraina, to jakby niedoszła Sycylja — te same kultury ścierały się tu i nawarstwiały, zostawiając jednak po sobie nie świetne pomniki wspaniałości, lecz tylko nurty podziemne, korzenie ściętych pni, które stanowią główny urok kulturalny nieszczęsnego kraju. Jak Sycylja jest rzutem Europy na Afrykę, tak Ukraina rzutem Europy na Azję.

W tych czy innych okolicznościach spędzał Szymanowski te smutne lata; są one jednak dla niego epoką skupienia, epoką myśli. W owym czasie po raz pierwszy rozpoczyna próby pisania, zaczyna szkicować fragmenty filozoficzne, które stały się rewelacją jego myśli i jego stylu.

W swoim rozwoju duchowym natknął się on na potrzebę ogólną naszego (już młodszego) pokolenia, nazwaną potem i niezupełnie dokładnie potrzebą mitu. Nazwę tę zatrzymałem w tym szkicu, tem bardziej iż w wypadku duchowej pracy Szymanowskiego odpowiada ona pewnej istotnej rzeczywistości. Z własnych przeżyć i przemyśleń, z lektury Nietzschego i prof. Zielińskiego, dochodził on do poznania wiecznych wartości mitu dionizyjskiego. W bezpłodnym i okropnym czasie pierwszego dziesiątka lat w. XX, kiedy powrót do prostego katolicyzmu ojców i dziadów wydawał się niemożliwy, dojście do Boga, połączenie się z Nim, stawało się osiągalne jedynie przez ekstazę i poryw mistyczno-erotyczny czy estetyczno-erotyczny. W tych ekstazach zaspokajała się potrzeba religijna artysty. Echa tych samych uczuć odnalazł Szymanowski w mistykach perskich („Pieśni Hafisa", trzecia symfonja z tekstem Dżeladeddina-Rumi).

Wyrazem tych właśnie rozmyślań i uczuć stał się dla Szymanowskiego „Król Roger".

Na postaci Rogera II sycylijskiego zatrzymał się Szymanowski zapewne pod wpływem wrażenia, jakie na nim zrobiła „Capella Palatina"; wracał do niej niejednokrotnie w swoich wspomnieniach i rozmowach. Był to instynkt poprostu. Gdyby działały tutaj głębsze studja historyczne, zatrzymałby się może na proponowanej mu przeze mnie w owym czasie postaci Fryderyka II, wnuka Barbarossy, który tak silnie działa na wyobraźnię poetów Niemiec współczesnych. Materjału dostarczyły mu, zdaje się, tylko wspomniane szkice Muratowa, który zatrzymuje się obszernie na postaci Rogera, nie daje jednak wystarczającej ilości szczegółów. Ze innych źródeł historycznych Szymanowski nie znał (istnieje gruntowne dzieło prof. Ericha Caspara, Innsbruck 1904), świadczy imię Roksany nadane małżonce Rogera, podczas kiedy młodo zmarła małżonka jego, trzecia zrzędu, najbardziej nadająca się do roli wyznaczonej jej w dramacie kompozytora, nosiła w rzeczywistości miano Sybilli.

W każdym bądź razie król Roger nie tyle jest postacią historyczną ile wyrazicielem duchowych poszukiwań samego Szymanowskiego. Zakuty w ciasnotę hieratycznego kościoła, Roger dramatu, — otoczony żelazną strażą Normanów i ostrożną mądrością Arabów, — tęskni do nowego świata, wolnego i pełnego tajemniczego czaru, którego uosobieniem staje się ukryty Dionizos, dobry Pasterz, czczący Boga winem, śpiewem i ofiarą swego ciała. Rozmowa Rogera i Pasterza w drugim akcie, to trawestacja rozmowy Penteusza z Dionizosem w „Bachantkach". I Roger jak Penteusz porzuca wszystko, aby pójść za Dionizosem na miejsce jego tajemniczych ofiar.

Tu jednak następuje zasadnicza odmiana, załamanie się linji Rogera, które jak najściślej odpowiada załamaniu się szukania mitu u Szymanowskiego. W pomyśle pierwotnym, w akcie trzecim Dionizos objawiał się na ołtarzu rozwalonym teatru greckiego w całej swej potędze i blasku nieziemskim. Porywał on za sobą w niesamowite zjednoczenie z bóstwem nie tylko słabą kobietę i jej towarzyszki (znowu echa „Bachantek"), ale i samego Rogera. Wbrew historji, wbrew prawdzie, wbrew naszym pojęciom o sile — Roger oddawał się w niewolę pięknu Dionizosa.

Komponując akt trzeci „Rogera" już w Ameryce, a potem w Zakopanem w 1921 i 1922 r. Szymanowski zmienił to zakończenie. Dionizos, porwawszy Roksanę w stan zapamiętania, zapada się w nicość, a Roger pozostaje sam na ruinach greckiego teatru i wstępując na schody ku wschodzącemu słońcu, śpiewa hymn na cześć natury, kilka prostych słów:

A z głębi samotności, z otchłani
mocy mej
Przejrzyste wyrwę serce, w ofierze
słońcu dam...

— które wymownie kontrastują z niepewną atmosferą aktu.

Zmiana ta ma swoją niezwykłą wymowę, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę czas w jakim została dokonana: już po napisaniu „Słopiewni", które były pierwszem postawieniem Anteuszowej stopy na ziemi rodzinnej. W zakończeniu tem okres sycylijski, okres estetyzowania i poszukiwania objawienia w pięknie, załamywał się, ulegał likwidacji. Samotność dramatyczna Rogera wobec wschodzącego słońca stanowiła tragiczne odrzucenie znalezionego, zdawało się na dobre, mitu. Samotność Szymanowskiego i rezygnacja z hedonistycznej mitologji, której początkiem była podróż na Sycylję, stała się faktem dokonanym.

Czy nowy mit, mit ziemi, którego płodem były „Stabat Mater" czwarta symfonja i „Harnasie" — wypełnił twórczość Szymanowskiego bez reszty, to jeszcze pytanie.

W ostatnich miesiącach życia, trochę spłoszony naśladownictwami jego stylu ludowego, jakie się zaczynały szerzyć przerażająco szybko, powtarzał: „dość już tego folkloru" — i może jego zmęczony umysł zwracał się znowu do baśni o wiecznem pięknie i wiecznej miłości, której obrazem tu na ziemi była dla niego ukochana Sycylja. W każdym razie nosił się z zamiarem pisania baletu o wędrowcu Odyseuszu, myślą przenosił się wtedy znowu do odysejskiego pejzażu południowej Sycylji, do zielonych wybrzeży i woskowych świątyń wonnego Agrygentu.

Palermo, w kwietniu 1937.

Jarosław Iwaszkiewicz.

---

[1]) W pejzażu tym urodził się i wychował Pirandello, pochowany teraz także w Agrygencie. Pomiędzy tym pisarzem a jego pejzażem można byłoby ustalić może zależność tylko per contradictionem.

[2]) Jak już kilkakrotnie miałem sposobność stwierdzić, pomysł i patos, rozczłonkowanie formalne samego dramatu jest całkowicie dziełem Szymanowskiego. Jego pióra są szczegółowe informacje dekoracyjne do każdego aktu. Pióra mojego są jedynie teksty śpiewane opery, wykonane ściśle podług wskazówek kompozytora. Nawet akt trzeci w trakcie komponowania (w Nowym Jorku) Szymanowski skreślił i na miejsce mojego dał tekst własny, który obecnie figuruje w operze. Zmienione zostało zwłaszcza zakończenie, prowadząc do pewnej niejasności dramatycznej, usprawiedliwionej koncepcją filozoficzną.

„Król Roger" w Teatrze Wielkim w Warszawie

„Król Roger" w Teatrze Narodowym w Pradze

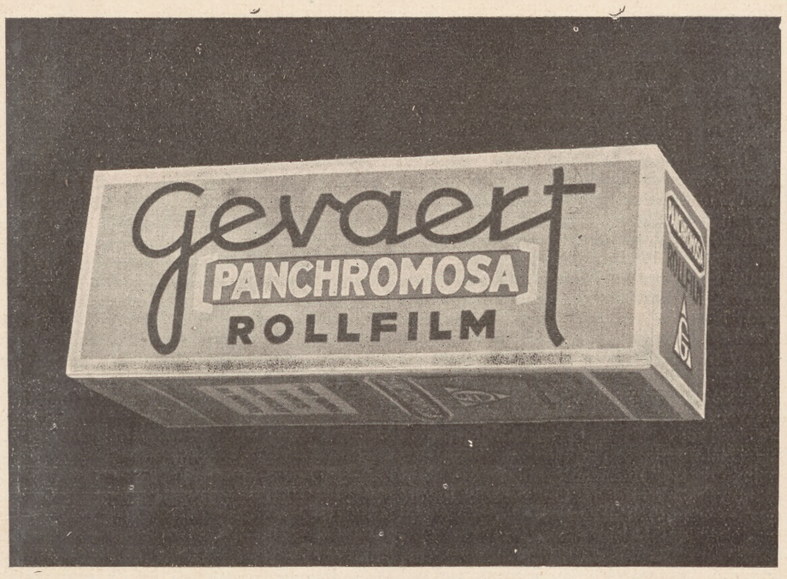

LISTY
FRYDERYKA CHOPINA
w opracowaniu
HENRYKA OPIEŃSKIEGO
400 stron druku, 23 rotograwjury,
cena zł. 25.—, w oprawie zł. 30.—
Nakład Jarosława Iwaszkiewicza
i „Wiadomości Literackich"
Skład główny: KSIĘGARNIA J. PRZEWORSKIEGO

PLUTOS

WYKWINTNE CZEKOLADKI DESEROWE w 150 odmianach
KARMELKI czekoladowe, owocowe i in.
MARMELADKI, owoce w cukrze
FIGURKI CHOINKOWE z dobrej czekolady
PIERNIKI NA CZYSTYM MIODZIE w bogatym asortymencie
TORCIKI pralinowe, orzechowe i toruńskie
Wielki wybór miłych i pożytecznych upominków
po cenach b. przystępnych

STRZEŻCIE SIĘ GRYPY
W momencie stwierdzenia bólu głowy, dreszczy, łamania w kościach, silnego kataru z podniesieniem lub bez podniesienia temperatury, należy pozostać w domu. Przy grypie, przeziębieniu stosuje się Togal w dawkach 2 tabletki 3 razy dziennie. Togal powoduje spadek gorączki i przynosi ulgę. Do nabycia w aptekach.

PERFUMY
WODY TUALETOWE
PUDER

PARFUMS CHANEL

KORNEL MAKUSZYŃSKI

LIŚCIE PADAJĄ NA GRÓB

Ile razy mam pisać o Karolu Szymanowskim, zawsze długo siedzę pochylony w milczeniu nad kartą papieru, po której za chwilę przemknie złocisty promień jego nazwiska, nie wiem bowiem i w sercu to ważę: czy mi wolno, korzystając ze słodkich przywilejów wiernej przyjaźni, wypuścić rój skrzydlatych słów, jak ptaki z klatki, czy też kazać im szeptać ze czcią na widok królewskiej zjawy? Dręczyła mnie ta wątpliwość jeszcze za jego życia, tem natarczywiej dręczy mnie po jego śmierci. Świadczę się bowiem całą swoją tematu, że stosunek mój do wielkich ludzi, których miałem zaszczyt i szczęście znać osobiście, żył skromnym, cichym, lecz najgłębszym zachwytem. Dzień powszedni, mącący wszelkie granice i zacierający „patos dystansu", nie zdołał nigdy oszukać mego poczucia zalękłej skromności, szczęśliwej że przez dziwne zrządzenia losu znajduję się w zaczarowanym kręgu jakiegoś twórcy najwyższej miary, co będzie przypisany nieśmiertelności. Mierził mnie zawsze nieznośnie każdy Falstaff, opasły i gruby, klepiący po ramieniu królewskość, nazbyt lekkomyślną i nazbyt łaskawą. Do krwistego gniewu doprowadzało zawsze moją najcierpliwszą spokojność chytre usiłowanie różnych przemyślnych czortów, co schwytawszy podstępem orła w sieć słów lub listów, usiłują go zmusić do stąpania po ich grząskiem trzęsawisku. Orzeł jest orłem w chmurach, na ziemi jednak jest stworzeniem nieporadnem.

Od lat trzydziestu znałem Szymanowskiego. Najpierw „czucie i wiara", zaczem radosna pewność oznajmiły mi że w tym bladym uroczym człowieku kipi potęga, gotuje się morze, zanim o zachodzie wyśpiewa swój hymn. Niezmiernie cierpi taka znikoma ludzka kruszyna, napełniona żywiołem, który z Bożego rozkazu musi wyrzucić na świat w twórczej męce. Któż wiedział, patrząc na tę ludzką orchideę, na tę twarz, oprzędzoną uśmiechem tak ślicznym jak uśmiech wiosennego dnia, że poza temi urokami coś się przewala, coś się śmiertelnie zmaga, żywym ogniem płonie i na popiół zmienia serce? Ten, który wiedział, spoglądał na to przedziwne dziwo z czcią pełną wielkiej miłości. Ja osobiście wiązałem z tem jeszcze rzewną tkliwość: zaprawiony w srogich bojach o miejsce na niegościnnej ziemi i znający na wylot jej podstępne zmyślności, nie mogłem patrzeć bez jawnego rozczulenia na tę zgoła chłopięcą ufność, z którą Szymanowski wchodził pomiędzy ludzi spodełba patrzących na rajskiego ptaka. Zachował ją — jasną i śliczną — do ostatniego tchnienia. Rozważając przeto, jaki kształt nadać moim słowom, kiedy o nim piszę, pomyślałem że najlepiej będzie, jeśli będą miały kształt serca. Inni spalą przed nim słowa wielkie i uroczyste, całe książki o nim napiszą, może jednak w uroczystej zadumie na myśl nie przyjdzie nikomu, że dopiero śmierć zdjęła uśmiech z jego dobrych, przedobrych oczów, i że zawsze, kiedy go jego demon na chwilę opuścił i odetchnąć mu pozwolił, zjawiał się poprzedzej z tym uśmiechem na słonecznej stronie świata, rozprężał się i wyciągał ręce: po blask, po radość, po przyjaźń i po wino. Naśmiewały się przyjacioły, że oto taki wielki, taki wspaniały i górny i chmurny, a pośród ludzi — uroczo zawstydzony i taki szczęśliwy jak żak. Mój Boże! Naśmiewały się, ale jakoś dziwnie i sztucznie, wiedział bowiem każdy z nas, że „ktoś się za nim włóczy wciąż" — widmo mgliste i nieustępliwe, cień przyboczny, wiejący chłodem; żeby je przeto odpędzić, łgali radość i śmiech, i okrzykami pod zakopiańskie niebo bili jak fontanny. Trzeba to zapisać, wszystko to trzeba zapisać... O takich jak on, ponad ludzką miarę, powinno być wszystko wiadome. Ból, cierpienie, walkę, zmaganie się, rozmowy z wiecznością, zapisał on sam na olbrzymich płachtach nutowego papieru, niepoliczoną ilością czarnych znaków, rozsianych jak mak. A resztę — wszystkie jego uśmiechy — zapiszmy my, a ktoś kiedyś całość z tego złoży.

Niejedno już napisałem o Szymanowskim i rad byłem niezmiernie, że ze zbiedzonej jego twarzy spełzły na chwilę mroki i że się śmiał, a tak — biedaczyna najcudowniejszy — pragnął tej złotej okruszyny śmiechu że się śmiał aż do łez. Opisałem w jakiejś książczynie przedziwne awantury z jego koncertem w Zakopanem. Wiele najprzedniejszej uciechy było z tego zaziębionego koncertu w kaloszach i w futrach na zaflegmionym fortepianie. Więc mnie to ośmiela, bym drgającą, zawsze żywą pamięć o Szymanowskim rozjaśnił innym znów uśmiechem. Zasiadłszy nieraz przy butelce kwaśnego jak ludzka zawiść wina, przypominaliśmy sobie „wesołe sceny z życia cyganerji", wplecione w cierniste i pracowite dni, owe beztroskie niedziele, cudem jakimś błękitne, co na krótkie godziny zwyciężyły skisłą mglistość i przytłaczającą szarość. Z rozigraną lubością wesołego chłopczyny, który pozatem jest genjalnym muzykiem, wspominał Szymanowski, szczególnie w tych czasach, co się już gęstym mrokiem zasnuły i stawały „wiekiem klęski" — łagodne, skrzydlate szaleństwa. Wspominał je z jakimś łakomym głodem. A ja — jako ten omszały słoneczny zegar, któremu wypisano na kamieniu dewizę: „non numero nisi horas serenas" („znaczę pogodne jedynie godziny"), wyławiałem z promienistej, lazurowej topieli same uśmiechy drobnych, ale błękitnych zdarzeń. Niech się ucieszy dusza udręczona... Niech się zaśmieją smutne, śmiertelnie smutne oczy... „Niech o młodości pomarzy półsenny"...

Wciąż gdzieś radosnym witaliśmy się okrzykiem: to w Krakowie, to znów we Lwowie, „śpiewającem mieście", będącem najbliższą zachodnią stolicą dla genjalnej wspaniałych talentów rodziny Szymanowskich. Na lwowskiej scenie pani Stasia śpiewała: „I znajdziesz mnie nadobną do damy podobną", wieszając na szyi fałszywe perły Mefistofelesa a wyrzucając z gardła najprawdziwsze perły głosu. I Felo, uroczy brat-łata, człowiek-fortepian, magiczne na nim wyprawiał sztuki. Strasznie dobrze było Szymanowskiemu we Lwowie! Przylatywał jak ptak i jak ptak odlatywał, rzuciwszy na nas urok. Dopiero czasu wojny, w Kijowie, długie razem spędzaliśmy godziny. Zacne miasto Kijów. Miłych towarzyszów, mołojców dobrych, było tam coniemiara, od pędzla i liry, do śpiewania i ślicznego gadania na scenie. Był ci tam i Cyrano de Bergerac, mieszanina Zagłoby i kapitana Fracasse z romansu Gauthiera, dryblas wspaniały Kazimierz Dunin-Markiewicz, za którego huczną zwalistością Szymanowski przepadał. I Krzyżanowski Konrad, malarz wspaniały, który żadnego ludzkiego języka nie umiał i mieszał ich siedem odrazu, i Drabik, wiecznie zamyślony, szukający w pysznem szaleństwie swej wyobraźni nowej „koncepcyji" do Norwida, i Weyssenhoff, wielki pan — ff! — wedle końcówki swego nazwiska, wytwornie uroczy, i siedem razy po siedem postaci wybornych i łaską jakiegoś talentu pomazanych. Razu pewnego poznałem u Szymanowskiego mrocznego młodziana w mundurze praporszczyka. Nic nie gadał, milcząc o rzeczach wzniosłych, a na kogo spojrzał badawczo, temu siniec pozostawał na gębie od tego spojrzenia. Wszakci to był Witkacy! Do tej gromadki zbliżał się nieśmiało młodzieniec w aksamitnej kurtce, z białym, szerokim wykładanym kołnierzem; ponad wiek wyrośnięty, spoglądał przedziwnie mądrymi oczami. Od tego czasu nie umiem sobie inaczej wyobrazić jak tylko w aksamitnym obleczeniu jednego z najświetniejszych prozaików: Jarosława Iwaszkiewicza. Nie pamiętam, czy Wołoszynowski już wtedy nosił okulary, ale powolna, rozsądna powaga do dzisiaj utkwiła mi w pamięci; zawsze wyglądał jak żywa „Godzina myśli".

Gorejący Katot — nikt bowiem inaczej nie nazywał Szymanowskiego, tem pieściwem imieniem oznajmiając, że to przez wszystkich ukochany Benjaminek — wiedział że na całym świecie nie znajdzie wierniejszych przyjaciół. Przyjacioły, jak to zwykle wieszcze i Apellesy, rzucały czasem w siebie w rozigraniu namiętności, słowa zjeżone i kolczaste, było to jednak ponad ludzki podziw, jak mówiąc o Szymanowskim, czy też z nim, grzebały w sercach aby dobyć słów miękkich i najbliższych. Tan Orfeusz nawet wtedy, kiedy go coś do żywego zapiekło i kiedy w polemicznym artykule wydobywał ze swych słów takie lśnienia, jakie na obnażonej grają szpadzie. Kompozytor starszego pokolenia, przytem krytyk wysokiej rangi, kroczący w pełnej chwale owej twórczości co wzięła sobie za wdzięczną dewizę wołanie: „słowiczku mój, a leć a piej...", zresztą mistrz w tej dziedzinie, niechętnem uchem słuchał nadciągającej burzy Szymanowskiego, rytmów dotąd niesłyszanych, takiego tchnienia muzyki, co gięła dusze jak kłosy. Krytyczne swoje stanowisko uzasadniał uczciwem słowem: „nie rozumiem". Przedni stylista, wybornie słowem władnący, rozmnażał często to jedno w feljetonowy gąszcz, w którym niejedna róża mniejsza była od ciernia. Szymanowski wionął pióropuszem swojego feljetonu, i tysiąc błyskawic trysnęło z czerni druku. Tamten zdumiony głowę skłonił, jakby olśniony tą mądrą i zabójczą wytwornością.

„Ale to już inna historja..." — jak zwykł mówić Kipling. I inna i znacznie późniejsza, a my jesteśmy w Kijowie, w którym z wielkiej oddali słychać wojnę. Piszemy tu, malujemy obrazy, zakładamy polskie uniwersytety — każdy „czyni w swojem kółku co każe Duch Boży". A Szymanowski znika gdzieś na długie dni. Pewnie w ciszy nocy łowi takie dźwięki, jakich ucho ludzkie usłyszeć nie może. Gdy się zjawia po takim okresie, wydaje się że wstał po ciężkiej chorobie, co z niego wypiła krew i siły. Tak jest udręczony że nic nie mówi, tylko się uśmiecha przedziwnym, rzewnym uśmiechem.

Był to czas, nadziejami napęczniały, burzący się wiosennemi sokami. Zaczynaliśmy w Kijowie Złotobramnym nawoływać się coraz głośniej, coraz śmielej poczynać sobie w teatrze i w innej sztuce. Żywiliśmy obudzoną otuchę polskich serc pokazem każdej dosięgalnej świetności. Jakżeż im nie pokazać tej świetności największej, jedynej, narastającej blaskiem jak słońce po wschodzie? Widziano na estradzie poetów, na scenie największych polskich aktorów, którym Drabik malował tryumfalne bramy, słyszano przemawiających głośnych polityków, trzeba przeto, aby ujrzeli i usłyszeli Karola Szymanowskiego. Nie chciał. Bronił się i zasłaniał. „Co to kogo obchodzi? — powiada. — Będą gadali, że to dzikie i niepojęte"... Kropla jednak wydrąża skałę, non vi, sed saepe... gadando. Tak długo męczyłem dobrotliwego Katota, że się wreszcie zgodził na własny koncert w sali Teatru Polskiego przy ulicy Meryngowskiej nr. 8. Był to drugi z nieprawdziwego zdarzenia koncert Szymanowskiego, na którym byłem obecny. Szczegóły zatarły się w mej pamięci, lecz ojciec benedyktyn Jachimecki odnajdzie zapewne program tego koncertu i ścisłą datę. Ja pamiętam że w sali było pierońskie zimno i że Szymanowski dygotał we fraku. Grał swoje cudy pośród wzruszonej, do łez wzruszonej ciszy sali. Jego pieśni śpiewał wspaniały tenor Tadeusz Leliwa. Śpiewał ktoś jeszcze; jakaś damska postać majaczeje na różowym obłoku wspomnienia. Ale jego — Katota — widzę tak wyraźnie, jakbym go sobie w duszy wyrył na zawsze: blady, skupiony, poważny i smutny; a kiedy głowę pochylił w ukłonie przed zachwyconą salą, małe perełki potu miał na czole.

Koncert składał się z dwóch części; trzecia została odegrana w knajpie pana Antoniego, co swojemu uwielbionemu gościowi przysłał wieniec jak młyńskie koło a sam w czarnym karawaniarskim stroju, jak w kamień zaklęty, siedział w pierwszym rzędzie. Teraz patrzy na Szymanowskiego ze szczęśliwym podziwem i szepce do mnie: — „Panie! Eto genij"! — „A pan co myślał, panie Antoni?" — odrzekłem mu łaskawie.

— Pamiętasz, — mówił do mnie w Zakopanem Szymanowski, — pamiętasz mój koncert w Kijowie?

— Pewne szczegóły zatarły się w mej pamięci — odrzekłem ponuro. — Pan Antoni zbyt obficie oblewał tę uroczystość...

Ale i te okruchy wspomnień są złociste... O, Katocie, cudowny Katocie —

„W tem miejscu łza miast kropki padła".

Kornel Makuszyński.

„KURJER PORANNY"
drukuje powieść POLI GOJAWICZYŃSKIEJ
„SŁUPY OGNISTE"
Prenumerata zł. 3.75 mies. wraz ze stałymi dodatkami kwartalnymi w postaci książki.
Nowoprzybywającym abonentom dosyłamy początkowe odcinki powieści POLI GOJAWICZYŃSKIEJ — „SŁUPY OGNISTE"

„SKAMANDER"
UKAZAŁ SIĘ ZESZYT ZA STYCZEŃ — MARZEC 1938 R.
przynosi: essaye **K. W. Zawodzińskiego** „Pierwszy czar Conrada" i **Kazimierza Błeszyńskiego** „Krystalizacje czystej poetyckości" (o Jasnorzewskiej), fragment powieści **Stefanji Zahorskiej** „Korzenie", wiersze **Jana Brandhendlera, Jana Brzechwy, Zuzanny Ginczanki, Stefana Gołębiowskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Marji Jasnorzewskiej (Pawlikowskiej), Adolfa Sowińskiego, Elżbiety Szemplińskiej-Sobolewskiej,** przekłady **Juljana Tuwima** z **Szoty Rustawelego, Włodzimierza Lewika** z **J. A. Rimbauda, Tadeusza Hollendra** z **Olega Olżyca, Jalu Kurka** z **Paola Buzziego,** przegląd puszkinianów **Franciszka Siedleckiego,** przegląd teatralny **Ireny Krzywickiej,** okładkę **Józefa Raynefelda.**
Cena zeszytu zł. 2.50. dla prenumeratorów „Wiadomości Literackich" zł. 1.50.

LEON SCHILLER

SMUTNA FOTOGRAFJA

Na wielkiej scenie sofijskiego Teatru Narodowego dobrzmiewał chór zaduszny, kończący czwartą odsłonę „Dziadów". Właśnie miałem śpiew przerwać, aby przegrupować statystów, gdy nagle poczułem, że ktoś stanął za mną i jakby chciał mi coś powiedzieć. Nie obejrzałem się, lecz nie zdążyłem wejść na pomost sceniczny, bo sekretarz poselstwa naszego zatrzymał mnie i powiedział: „Smutną pan będzie miał dzisiaj próbę — umarł Karol Szymanowski". Westchnąłem tylko: „Mój Boże!" — zarządziłem przerwę i usiadłem w dalszym rzędzie foteli, aby zrozumieć co się stało i choć na oka mgnienie wskrzesić w pamięci tego, co pewnie teraz już „mija szczyty i drogę tnie piorunem"...

Zgon ludzi prawdziwie wielkich, których mieliśmy szczęście znać osobiście, nigdy chyba łez z oczu nie wyciska, ani serc bólem nieznośnym nie rozdziera. Nawet gdy nas z nimi najczulsza przyjaźń łączyła, w życiu codziennem, w chwilach wolnych od wszelkiego patosu, dzieli nas przecie stale jakiś dystans ogromny. Sam się wytwarza, bez ich udziału, często pomimo ich woli. Kto nie chce się z tem liczyć, napewno nie jest człowiekiem dobrego smaku i nie zna słodyczy uwielbienia. Gdy odchodzą od nas, dystans ten zwiększa się napozór. Wszak znikają nam z oczu. Nie wiemy, gdzie są naprawdę, czy ku gwiazdom lecą, czy ulegają przemianom podziemnym, aby kiedyś szeptem drzew lub kwiatów aromatem do nas przemówić.

Wiemy jednak, że są nieśmiertelni. Bo gdy z ich dziełami obcujemy, krążą dokoła nas, przenikają w głąb dusz naszych, zlewają się z naszymi myślami, kierują nimi, wskazują nieznaną dotąd drogę. A życie ich ziemskie, tak nam dobrze znane, przypomina się nam teraz w innych kolorach, inną dźwięczy melodją. Dopiero teraz najpowszedniejsze jego momenty prześwietla lampa mądrości wyższej, dopiero teraz zaczynamy pojmować sens właściwy poematu biograficznego, którego oni byli twórcami.

Komu wolno było płakać nad grobem Wyspiańskiego? Kto ośmielił się łzami trumnę Żeromskiego żegnać? Bogata ich puścizna duchowa jest szczęściem naszem, dumą, i nieprędko się wyczerpie.

A Szymanowski był w Polsce trzecim wodzem sztuki czasów naszych — i tamtym był równy.

Więc nie wstydziłem się przed samym sobą spokoju mojego, gdym się dowiedział o odejściu człowieka, którego uwielbiałem, z którym los pozwolił mi kilkakrotnie wspólnie myśleć i pracować nad jego utworami przeznaczonemi dla sceny.

Gdy o tych rzeczach myślałem, patrząc na pustą scenę, na której w półmroku majaczyły szkielety dekoracyj, przypomniało mi się, że już kiedyś tak było — siedziałem z Karolem w drugim czy trzecim rzędzie krzeseł, zapatrzony w dogasający czar teatru... Za nami Ryszard Bolesławski — obok Drabik... Już wiem, to było w Teatrze Polskim, w maju 1920 r., po premjerze „Mieszczanina szlachcicem", które to widowisko kończyło się baletem p. t. „Mandragora". Wszyscy odnieśliśmy wielki sukces, Karol oczywiście — największy. Gdy zrodził się pomysł takiego zakończenia komedji moljerowskiej, zakładano się ze mną, że Szymanowski zamówienia nie przyjmie. Przedewszystkiem nie chce i nie umie pracować na zamówienie; po wtóre, komponuje wolno, instrumentację retuszuje bez końca, a widowisko musi być zmontowane w ciągu trzech tygodni; po trzecie, nie zna teatru, teatr mało go interesuje, a tu chodzi o lekką, swawolną groteskę, którą mają odegrać i odtańczyć aktorzy — nie tancerze. Obawy były płonne. W ciągu kilku godzin ułożyliśmy w trójkę, Szymanowski, Bolesławski i ja, kanwę w stylu włoskich komedyj improwizowanych; wieczorem tego samego dnia wręczyłem Karolowi dokładny scenarjusz z drobiazgowemi adnotacjami reżyserskiemi, a nazajutrz otrzymaliśmy już jedną czwartą część całości i mogliśmy rozpocząć próby, grając z mokrych niemal nut. W parę dni później partytura „Mandragory" była gotowa. Ku niepomiernemu zdziwieniu zauważyłem, że kompozytor zastosował się ściśle do wszystkich moich dezyderatów i informacyj reżyserskich, że muzyka pokrywała się z akcją w stu procentach i że celem jej było wyłącznie wykonanie sceniczne, nie koncertowe. Wszyscyśmy wtedy powitali w tej czarownej błahostce narodziny wybornego muzyka teatru. Publiczność i krytyka nie chciała wierzyć, że to małe arcydzieło wyszło spod pióra Szymanowskiego, taki hołd w niem złożył on melodji, takim tryskało humorem, tyle w niem było prostoty i sentymentu. Walce na motywach pozytywkowych osnute, piosenki jakby z oper Belliniego cytowane, recitativa i „tempesty" parodystycznie przesadzone — wszystko brzmiało rozrzewniająco prymitywną radością. Mało kto zorjentował się, jak kunsztowna jest ta prostota, jak drogocenny okrywa ją strój harmoniczny i instrumentalny.

Na dnie tego żartu muzyczno-scenicznego kryła się wspólna tajemnica. I Karol i ja żywiliśmy szczególny sentyment dla „commedia dell'arte", nie tej po tysiąc razy w różnych baletach i pantominach podrabianej, lecz tej z powodu której szaleli Carlo Gozzi i E. T. A. Hoffmann. W tym czasie mówiliśmy dużo o „Księżniczce Brambilli"; cóż to za temat do mistycznej opery-buffo — bezdeń poezji, boski chaos sprzeczności i nieprawdopodobieństw, i wszystko tu dzieje się dla ducha i za jego sprawą!

Codziennie po „Mieszczaninie" wsłuchiwaliśmy się z Karolem i jego przyjaciółmi w to wdzięczne capriccio. Jego twórca czasem zamyślał się, czasem uśmiechał. Zdawało mi się wtedy, że już myśli o „Brambilli", o tej niesamowitej komedji omyłek duchowych...

Karol Szymanowski, Leon Schiller, Ryszard Bolesławski, Wincenty Drabik

Często potem przychodził do „Reduty", w czasach gdy wystawiałem tam misterja ludowe. Nikt lepiej od niego nie odcyfrowywał ich głębi, czy to gdy taiła się pod rubaszną powłoką pieśni kantyczkowej, czy gdy surową nutą muzyki ludowej przemawiała, czy też gdy magją kantyku gregorjańskiego leczyła dusze.

Mówił o wartości artystycznej motywów ludowych inaczej niż inni. Lubił je, w takim stanie, w jakim istnieją, „w naturze" lub w jakim podawali je kolędnicy i „kapnicy" Redutowi, ale, wróg wszelkiej stylizacji, przyszły twórca „Stabat Mater" i „Harnasiów", twierdził, że tylko to co stanowi istotę tych prostaczych tworów muzyce na coś się przydać może — naśladować ich, obrabiać i przerabiać artyście nie wolno.

Ilekroć bawił w Warszawie, odwiedzał Teatr im. Bogusławskiego. Rozumiał i doceniał walkę przez ten teatr prowadzoną. I on z tymi samymi wrogami o wielkość i powagę sztuki polskiej walczył nieustannie. Wyjeżdżając często zagranicę, miał możność porównania naszych wyników inscenizacyjnych z francuskiemi i niemieckiemi. Naszym przyznawał większe natchnienie i siłę, tamtym — większą precyzję techniczną. Dzięki sympatii, jaką czuł dla ubogiej sceny naszej, łatwo nam było uprosić go, aby napisał muzykę do ostatniej sceny „Kniazia Patiomkina" Micińskiego. Znów wszyscy myśleli, że odmówi. Jakąż bo korzyść mogła mu przynieść kompozycja ściśle związana z tekstem dramatu i z jego kształtem scenicznym? Ale Szymanowski chciał w ten sposób uczcić pamięć poety, którego liryki w pieśni swoje zmieniał, którego „Bazylissę Teofanu" niezmiernie cenił, jako nową formę polskiej dramatyki monumentalnej. I znów powstało dzieło głębokie, zapatrzone w bezmiar kosmosu, zasłuchane w wieczność.

Tutaj także marzyliśmy o wystawieniu „Dziadów" z jego muzyką. On jeden bowiem miał prawo zmierzyć się z Mickiewiczem na rozum i na serce, odgadnąć ledwie zarysowany w wileńsko-kowieńskiej części poematu, pomysł „drammy muzycznej". On jeden tylko byłby zdołał dla każdej kondygnacji, na jakiej akcja misterjum się rozgrywa, znaleźć odrębną muzykę, a potem wszystkie te światy dźwięków w jedną zlać harmonję. Niestety, teatr bez powodu zamknięto!

Przedtem jeszcze zaszczycił mnie propozycją wystawienia na scenie Teatru Wielkiego „Króla Rogera". Chodziło mu o to, jak pisał do mnie, „aby uniknąć w tym dziele nieznośnego operowego szablonu ...aby reżyserja zerwała wreszcie z „Wampuką"... jest to bowiem opera, która bez świadomej i celowej konstrukcji scenicznej może się łatwo wywrócić dogóry nogami, ze względu na dość paradoksalne idee"... Połknąłem szybko wyciąg fortepianowy, pociągała mnie przesycona namiętnością muzyka i kapitalne sceny zbiorowe, jakby na teatrze Micińskiego wzorowane i już niemal przez kompozytora wyreżyserowane — lecz w tym właśnie czasie pracowałem nad inscenizacją „Nie-boskiej komedji" — dwum rzeczom równocześnie nie byłbym podołał.

W osiem lat później, niezrażony moją odmową, powierzył mi Szymanowski przeróbkę pierwszego libretta „Harnasiów". Po szeregu prób ustaliliśmy wreszcie wspólnie, w listopadzie 1935 r. w Paryżu, najdokładniejszy scenarjusz baletu, zastanawiając się nad każdym niemal taktem, komponując schemat ruchu scenicznego dla każdego większego okresu muzycznego, dbając o to, aby wyraz gestyczny nie kłócił się z treścią uczuciową muzyki i aby dynamika tańców miała swój odpowiednik w instrumentacji. Szymanowski nie widział swych „Harnasiów", ani w stylu „ballets russes", ani w ekspresjonistycznych kontorsjach à la Mary Wiegmann. Przerażała go także myśl, że mogłyby się tu zakraść jakieś momenty „rodzajowe", jakieś próby rekonstruowania folkloru „in crudo". Najbliższe formą wydawały mu się drzeworyty Skoczylasa, tonem — „Drzewiej" Orkanonowy i najpatetyczniejsze sceny ze „Skalnego Podhala". Staraliśmy się tedy, ja i uczennica moja, Irena Lorentowicz, uchwycić myśl jego i zamienić ją w kształt najbardziej monumentalny... Co się potem stało, doniósł mi Szymanowski telefonicznie z Paryża do Warszawy: dekoracje i kostjumy tylko w części zostały ukazane, z libretta nic prawie nie zostało, gdyż Lifar siebie na plan pierwszy wysunął... Tłumaczył się Szymanowski, że nie miał sił protestować, że chciał jeszcze przed śmiercią (mówił to napół żartobliwie) usłyszeć „Harnasiów" w Operze paryskiej...

*

Próba „Dziadów" po przerwie już się nie kleiła. Skończyłem ją czemprędzej. Po drodze do hotelu zwróciłv moją uwagę gęsto rozlepione, duże klepsydry. To wszystkie organizacje i instytucje muzyczne w Bułgarji w ten sposób uczciły pamięć największego muzyka polskiego.

Przeglądając w hotelu fotografje, które w celu propagandy artystycznej przywiozłem do Sofii, znalazłem jedną — bardzo smutną... Przedstawia czterech mężczyzn, siedzących w fotelach teatralnych i zapatrzonych w scenę... To my — po premjerze „Mieszczanina szlachcicem" i „Mandragory" w Teatrze Polskim!

Trzech już nie żyje — mnie tylko jednemu pozwolono jeszcze wałesać się bez celu po miłej oiczyźnie. Drabik umarł jako bezrobotny. Bolesławskiego wygryziono z teatrów warszawskich. Szymanowskiemu, zaledwie hvmn „Veni Creator" do słów Wyspiańskiego napisał na otwarcie akademji muzycznej i zaczął w niej organizować najwyższe studja — ci sami panowie, którzy byli założycielami tej uczelni, zamknęli ją nistådnizowąd, ku wiecznej hańbie swojej, pozbawiając wielkiego muzyka warsztatu pracy i środków do życia.

„Mieszczanina szlachcicem" grano we Lwowie i w Warszawie ostatnimi czasy bez „Mandragory"! (Rosyjsko-) polski balet reprezentacyjny nie ma jej w swoim repertuarze. Zdemolowana opera warszawska nie może wystawić ani „Hagith", ani „Króla Rogera", ani „Harnasiów"!....

Bardzo smutna fotografja.

Leon Schiller.

RYSZARD ORDYŃSKI

MOMENT TROSKI

Z Szymanowskim poznałem się w r. 1912 w Berlinie, kiedy byłem u Reinhardta. Naturalnie na tle teatru, który go zawsze bardzo interesował, i przez koła wspólnych znajomych berlińskich. Równocześnie zetknąłem się z Arturem Rubinsteinem, Pawłem Kochańskim i Grzegorzem Fitelbergiem.

Kiedyśmy się następnym razem spotkali w Warszawie tuż po wojnie, zbliżenie i zaprzyjaźnienie się nasze było już ze względu na parę dawnych chwil berlińskich bardzo uproszczone. Odtąd mieliśmy sposobność często się z sobą spotykać, i to na najrozmaitszych terenach. Za każdym razem odkrywałem w nim coraz bardziej powszedniego człowieka. W życiu codziennem miał nieporównany wdzięk „causeura", przy wielkiej jasności umysłu i tej czarującej intymności, które wciągały człowieka niemal nieświadomie w orbitę zwierzeń w sprawach najbardziej nawet poufnych. Z tych niespodziewanych wynurzeń zrodziła się szczera przyjaźń, która już potem rozciągała się na lata i obowiązywała bardzo istotnie. Cechą również bardzo charakterystyczną i tem bardziej wciągającą w coraz to bliższe porozumienie między przyjaciółmi była jego niezwykła, prosta **ciekawość.** Lubił on docierać do myśli ludzkiej, interesować się motywami działania, któremi się ludzie kierują, lubił jak najwięcej wiedzieć aż do bardzo miłego zainteresowania się plotkami. Przy całej uniwersalności wzajemnych stosunków i przy pewności rozumienia się, ten rys prostej ciekawości dodawał właściwie jeszcze pewnego wdzięku człowiekowi tak wielkiego kalibru. Stwarzało to wokół niego nastrój przybliżający mu z niezwykłą łatwością cały świat artystyczny i ludzi o szerokiej skali życia i używania.

Kiedyśmy się nanowo zeszli w Londynie, — a był to okres wspólnego mieszkania na Cork Street z Kochańskimi, Rubinsteinem i Igorem Strawińskim, — umieliśmy już chodzić po mieście, stając przy wystawach i jak dzieci ciesząc się mnóstwem szczegółów życia codziennego, jeden naród od drugiego tak bardzo oddzielających. Dalszym etapem był jego pobyt w Ameryce a potem niezliczone razy wspólnych dni i wieczorów w Paryżu, gdzie przez szereg lat w okresie „sezonu" odbywał się typowy **zjazd** przyjeżdżających z Ameryki na lato Kochańskich i snujących się za nimi z różnych kątów świata przyjaciół. Karol ubóstwiał Pawła jako człowieka i artystę, Zosię Kochańską jako wierną i rozumiejącą przyjaciółkę, a Rubinstein był tak niero zerwalnie z tą grupą złączony, że po p dniach weszliśmy wszyscy w system życia „grupowego", do którego dochodziła często pani Stasia Szymanowska, Fitelberg, Jan Lechoń, Stefan Spiess, August Iwański, młodzi muzycy, jak Piotr Perkowski, małe jeszcze obie Radwanki i przygodna falanga przyjaciół, rekrutujących się z całej Europy, Ameryki Północnej i Południowej i Bóg wie skąd jeszcze.

Z Paryża pewnego razu taką bandą pojechaliśmy do Sain-Jean-de-Luz obok Biarritz, wszyscy mniej lub więcej jako goście uroczej a z Karolem bardzo zaprzyjaźnionej pani Doroty Chadwick. Chodziliśmy na mecze piłki koszykowej, któremi pasjonował się Paweł, a za nim i my wszyscy. Stamtąd pewnego razu wybraliśmy się we dwójkę z Karolem na dłuższą wycieczkę w pobliskie góry i zwiedzaliśmy interesujące okolice i stare zabytki architektury. Ten dzień szczególnie utkwił mi w pamięci — Karol w słowach największego zachwytu zaczął snuć powieść swojego życia i przesunął przed moją wyobraźnią cały film swojej wędrówki od stepów ukraińskich do ukochanego Zachodu. Szymanowski, nie tylko muzyk, ale wielki humanista, hołdował maksymie wschodniej zażartości i talentu w zespoleniu z zachodnią umiejętnością i równowagą w rozkładaniu elementów artystycznych. Metody pracy Zachodu były mu wielkiem przykazaniem i wielki miał dla nich zawsze szacunek.

Działo się to w r. 1925, miesiącu sierpniu. Zdaje mi się, że był to okres jego największej świetności i najlepszego zdrowia fizycznego. Co za tem idzie, miał on wówczas nieskażoną świeżość w ocenianiu ludzi i rzeczy dokoła niego odbywających się i żyjących. Szkoda wielka, że w tych latach nie dał z siebie nic **literackiego,** gdyż jego talent pisarski byłby w tym okresie podyktował mu rozmyślania o rozległej skali twórczej i obserwacyjnej. Dla mnie te lata jego pozostaną we wspomnieniu najlepszego natężenia jego humanitarnych walorów, jego błyskotliwości konserwacyjnej, dowcipu i sprawiedliwego oceniania faktów i ludzi.

Choroba Szymanowskiego podcięła w znacznej mierze dar pogodnego oglądania świata i pogodnego wobec niego sądu. Pozostał on zawsze aż do końca życia przebogatym w elementy ludzkie twórcą i głębokim artystą, ale niestety, wszedł do jego psychiki nieodstępny już towarzysz wszystkich jego przemyślań i wszystkich jego poczynań, **moment troski.**

Lęk przed niepewnością jutra, zahamowanie w kreśleniu planów życiowych, wreszcie **nieufność** do tych reakcyj, jakie wywołać może fakt jego groźnej choroby, odtąd zaciemniały horyzont jego myśli. Przebyłem z nim bardzo wiele w tym okresie, patrzyłem na jego zmagania się z pierwiastkiem niszczycielskim, który go nie opuszczał, i na daremną walkę, którą organizm jego wypowiedział posuwającej się naprzód chorobie. Jej złe miazmaty wdarły się nawet do stosunków ze znajomymi i przyjaciółmi, którym nie mógł z siebie dawać tyle ileby pragnął, wszędzie na pierwszy plan mimowoli wysuwając własne niedomagania i własne obawy, które go nieustannie dręczyły.

Długi, kilkustronicowy list, pisany z „Atmy" w Zakopanem dn. 24 stycznia 1931 r., daje obraz tych trwożliwych nastrojów i obaw o najbliższą przyszłość: „Rysiu Drogi.

Miałem być jutro w Warszawie na jury nagrody państwowej, ale ostatecznie zdecydowałem się nie jechać, i to z wielu powodów, głównie zaś **zdrowia...** Piszę więc i to tylko w tej sprawie, którą w zacności swej zechciałeś się zająć. Katastrofalność sytuacji polega na tem, że **świetne zewnętrznie** moje pozory tak dalece nie odpowiadają rzeczywistości... A ta rzeczywistość jest w moim wypadku w samej rzeczy zatrważająca. Zanadto jesteśmy blisko, bym miał powody cokolwiek przed Tobą ukrywać — ciągle jak gdyby jakieś chmury się nade mną gromadziły!... Okazuje się, że ostatnia moja choroba — faktycznie niby zażegnana — pozostawiła gorsze rysy i pęknięcia, niż to się wydaje napozór, i że z tej porażki nie tak łatwo się wygrzebać"...

Był w swojej willi pewniejszy samoobrony niż w zetknięciu z ludźmi i z tą rzeczywistością, którą malował czasem czarniej niż nam się to wszystkim zdawało.

„Jeżeli dane mi jeszcze coś **niezłego napisać w życiu,** to jedynie w warunkach jakie mam tu, to znaczy w zupełnej ciszy, spokoju i osamotnieniu. Wobec tej dość ponurej rzeczywistości, zewnętrzne **wszelkie splendory** w formie doktorstwa, rektorstwa i t. d. i t. d. mają dość **ironiczny posmaczek".**

A potem jeszcze, gdy wraca do spraw najbliższych i do własnej odpowiedzialności, do jakiej się poczuwał, padają takie słowa:

„Stąd ta ponura gorycz i **lęk** przed tem co mnie jeszcze może spotkać".

Beztroska pogoda, którą niegdyś posiadał i która jest tak cenna u natury tak bardzo pogłębionej i w człowieku nawskroś typu intelektualnego — znikła właściwie bezpowrotnie. Jeszcze zawsze umiał być nieocenionym towarzyszem i kompanem zabawy, jeszcze umiał, jak mało kto, słuchać zwierzeń innych i dawał dowody szczerego zajęcia się losem innych, gdy chociaż radą lub interwencją mógł być pomocny. Na dnie jednak tych działań, na dnie wszelkiego wysiłku w stronę własnej poprawy losu i wszelkiego rojenia na temat własnej przyszłości — tkwił ukryty robak trwogi.

Dwa razy jeszcze potem widziałem Szymanowskiego jak gdyby nanowo ożywającego. Raz było to w Zakopanem, latem r. 1933, gdy pracował nad swoim koncertem smyczkowym, codziennie przerabiając pewne jego części z Kochańskim, pracą tą cały pochłonięty. Jak gdyby instyktownie czując, że może nigdy los nie zetknie ze sobą tych dwóch przyjaciół, pożarty chęcią jak najdoskonalszego wykonania swojego dzieła, wymógł na chorym już wówczas Kochańskim jego ostatni i jakże piękny występ w warszawskiej Filharmonji.

A wreszcie w kwietniu ub. r. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu „Atala" w Paryżu. Karol, gdy przyjechałem do Paryża, był właśnie w toku odbywania prób orkiestrowych „Harnasi". Zdrowie jego wyglądało już znacznie gorzej niż wówczas gdy cytowany tu list pisał z Zakopanego. A jednak na chwilę powróciła mu jego dawna pogoda. Była ona zaprawiona podmuchami zdaleka nadciągającej ciężkiej ołowianej chmury, a słońce już tylko słabiutkie promienie rzucało na rwącą się do sukcesu duszę twórcy. Nad fizycznem osłabieniem panowała słuszna i właściwa ocena tego niezbitego faktu, że jego ukochane dzieło doczekało się realizacji w metropolji świata artystycznego.

Codziennie rano jadałem śniadanie przy jego łóżku lub odprowadzałem go do Opery, a on tłumaczył mi w sposób niezwykle jasny i barwny, jak z dnia na dzień dyrygent ku jego zadowoleniu wydobywa ważne dla niego światła jego partytury orkiestrowej.

I gdy nadszedł dzień premjery, gdy na godzinę przed premjerą zastałem go siedzącego na naradzie z Lechoniem, który był tego przedstawienia najzasłużeńszym motorem — widziałem w oczach jego błyski takiej siły i wiary, na jakie od lat wielu troską przysłonięty jego duch się nie odważył.

Tak się złożyło, że mój feljeton w „Kurjerze Porannym" nadszedł pierwszy z kraju. Wczesnym rankiem tym razem Karol znalazł się u mnie. Gdy dla mnie było to największą przyjemnością i zaszczytem, że mogłem może w niedoskonałych tylko zdaniach zdać sprawę z pełnej tryumfu premjery i wielkiej wartości jego dzieła — on, wielki władca słowa, umiał niejako odwrócić na chwilę sytuację, składając mi podziękowanie za zdaniem jego dobrze wysłuchany poemat muzyczny.

Jakżeśmy się wszyscy jego przyjaciele cieszyli jego radością i jakże trwożnie patrzyliśmy w jego rozpalone gorączką oczy. Dokonywało się wielkie misterjum zwycięstwa, które miało być ostatnim głębokim oddechem — przed zawarciem najdostojniejszego pokoju.

Ryszard Ordyński.

ANNA IWASZKIEWICZOWA

NOTATKI

Warszawa, dn. 2 listopada 1923 r.

Wczoraj spędziliśmy cały wieczór z Karolem: grał nam pierwszy akt „Pasterza". Jest cudowny; początek zupełnie cerkiewny o mistycznym nastroju, a potem nadzwyczajne wprost wejście Pasterza i jego dionizyjska, upajająca pieśń. Jest coś fascynującego w tej muzyce. W tych dniach znowu przyjdzie Karol i przyniesie drugi akt; mówi, że najlepiej lubi ostatni.

Bardzo zainteresowało mnie to co opowiadał o swoich projektach, daj Boże, żeby to wszystko wykonał. Nosi się z myślą o koncercie fortepianowym, o operze komicznej i — z czego się cieszę specjalnie — chce napisać mszę śpiewaną; wyobrażam sobie, że mogłoby to być cudownie przez niego zrobione. Dobrze jednak, żeby teraz, kiedy ma pisać ten balet góralski, za dużo o dalszych planach nie myślał, bo go to zniechęci do obecnej pracy.

29 listopada 1923.

Często widujemy się z Karolem. Parę dni temu znowu grał nam „Pasterza" (II akt).

10 kwietnia 1924.

Byłam dwa razy na próbie III symfonji Karola. Od czasu „Ekstazy" nie doznawałam takich wrażeń muzycznych. Jest to arcydzieło, szczyt chyba twórczości muzycznej Karola. W ciemnej prawie sali Filharmonji, sama w kąciku przy wyjściu przeżyłam znowu chwile niezapomniane, takie jak wtedy w Moskwie. Było także kilku znajomych, najbliższych przyjaciół Karola, garstka ludzi, z którymi potem miło było się spotkać i porozmawiać inaczej niż w zwykłem zamieszaniu i tłumie koncertowym.

12 kwietnia 1924.

Wczorajszy koncert stał się wspaniałą owacją — kwiaty, wieńce...

Montreux-Clarens, 30 września 1929.

Niestety, jest jeszcze jedna wiadomość, o której nie pisałam jeszcze, tak smutna dla nas: to choroba Karola. Spadło to niespodziewanie jak piorun. Z Edlach, gdzie siedział już parę miesięcy, wysłali go gwałtownie do Davos, bo skonstatowano bardzo rozwinietą już gruźlicę płuc. Z początku poprostu wierzyć w to nie chciałam, myślałam, że ktoś przesadził, naplotkował. Karol przecie wiecznie się leczył, niepokoił się o swoje zdrowie, i nigdy żaden z lekarzy nic o płucach mu nie mówił! Jednak, niestety, niepewność nasza trwała krótko: dostałam kartkę od Karola z Davos, z sanatorjum, w której błaga poprostu, żeby go odwiedzić, gdy będziemy w Szwajcarji. Najstraszliwszy żal zawsze budzi się we mnie na wspomnienie tego, ile razy się mówiło o tem że Karol imaginatyk, ile razy śmieliśmy się z jego ciągłego brania się za puls i t. d. To jest okropne, że on bojąc się o siebie, nawet nie przeczuwał jak ciężko jest chory. Cóż za idjoci ci doktorzy! Zawsze mówiło się, że tak strasznie kaszle z powodu papierosów, których rzeczywiście niebywałe ilości wypalał. Gdyby mu byli choć raz zrobili prześwietlenie płuc, od kilku lat już mógł był się leczyć. Muszę powiedzieć, że od tego dnia kiedy się o tem dowiedziałam, cały mój niepokój, cała „angoisse" (niema na to po polsku wyrazu) była mniej o bliskiego, miłego nam człowie niż o wielkiego artystę, który mógłby dać jeszcze tyle genjalnych rzeczy. Właśnie w tych czasach tak ciągle miałam w głowie jego muzykę! Ta choroba przyszła właśnie w chwili największego napięcia genjuszu, największego rozkwitu sił twórczych („Stabat Mater"). A może właśnie tu jest ta ręka Boża, która go ma zatrzymać... Czasem przypomina mi się to co Karol mi mówił jeszcze w Zakopanem, że pewnie życie zakończy w klasztorze...

Stawisko, 27 maja 1930.

Wczoraj pierwszy raz od roku widziałam Karola. Przyjechał 19-go. Ale nie mogłam być wtedy w Warszawie. Widziałam tylko świetną fotografję z przyjazdu w „Kurjerze Czerwonym". Wczoraj był koncert Pawła Kochańskiego, a potem zebranie u Ordyńskiego, i tam spędziliśmy razem cały wieczór. Spotkanie na koncercie bardzo mnie ucieszyło. Karol, pomimo że jest podobno nadspodziewanie dobrze, wygląda jednak bardzo mizernie, a jest z tem znowu prawie tak piękny jak kilkanaście lat temu w Moskwie, kiedy go poznałam. Niesłychany wyraz oczu jest jeszcze pogłębiony, przepaście są w tych oczach. Był z nami wzruszająco czuły, ciągle brał mnie za ręce i całował. W Filharmonji witając się ze mną trzymał mnie za rękę przy sobie i powiedział: „Pocałuj mnie", jakby czując, że może sama tego nie zrobię, i przykro mi było, że miałam sekundę wahania spowodu jego choroby. Cały ten wieczór zostanie mi na zawsze w pamięci. Rozmawialiśmy dość długo, mówił mi że nie pije wcale, zresztą widziałam to u Ordyńskiego, ale chciałby do tego wrócić, nie z fizycznej potrzeby, której już nie odczuwa, ale dlatego że żal mu tej przyjemności, tych momentów zamroczenia, bez których coraz więcej się nudzi... Ja się na to oburzyłam! Nudzi się! Jak taki człowiek może się nudzić. Tworzy światy, i to mu jeszcze jest mało. Cóż mielibyśmy powiedzieć my, pogrążeni w codzienej, potwornej nudzie życia! Niestety, mówił jeszcze o konserwatorjum, że mimo wszystko chce wrócić choć na parę miesięcy, żeby jeszcze „zostawić tam ostatecznie swoje piętno". Wszyscy baliśmy się tego konserwatorjum dla niego, kiedy nawet nie wiedzieliśmy o jego chorobie. Zimą trzy lata temu całem sercem odradzaliśmy mu, a on wtedy tego tak nie rozumiał, że jeszcze miał do nas (a w szczególności do Jarosława) pretensję. Później sam szalał, mówił ciągle, że to mu niszczy zdrowie, nerwy, że to porzuci i t. d. Oczywiście, każdej godziny jego czasu, który może być czasem twórczym, szkoda na ciężką, nudną pracę administracyjno-pedagogiczną. Przekonał się o tem. A jednak korci go to. Rezultat zresztą był świetny. Pamiętam, mówili i pisali o popisie — nawet przeciwnicy. Teraz na lato jedzie do Zakopanego, a zimą do Davos na dwa miesiące.

Zadedykował nam ostatni zeszyt mazurków, tak się z tego cieszę.

Stawisko, 31 maja 1930.

Wczoraj mimo kłopotów domowych uciekłam, dosłownie uciekłam wieczorem na III symfonję Karola; radja nie mamy, a cały dzień chodziła mi po głowie, i poprostu musiałam ją usłyszeć. Doznałam wrażenia może silniejszego niż za pierwszym razem, chociaż śpiewała Stasia (zresztą bardzo pięknie), a według mnie tu konieczny jest głos męski. Sopran razi przy tych słowach, przy rozmowie z Bogiem w obliczu „nocy tej". Ile razy już słyszałam tę symfonję, a wczoraj wydała mi się jeszcze bardziej genjalna.

Fitelberg, kiedy mu mówiłam potem, że wykonanie było tak nadzwyczajne, odpowiedział mi: „Tak, wiem, czułem to" i potem dodał pocichu: „Bo wie pani, ja teraz mam zawsze wrażenie, że tego Karola już może nie być"... Tak, to jest właśnie pierwsza rzecz, którą pomyślałam, kiedy dowiedziałam się o chorobie Karola, zeszłego roku: „może go już nie być", może wyczerpać się źródło, z którego czerpało się tyle szczęścia. Właśnie to szczęście, jakie przeżywamy w takich chwilach, jest przecież jedynem zrównoważeniem ciężaru życia — każdego życia, nawet szczęśliwego, jak moje...

Stawisko, 6 lipca 1930.

...chce mi się jeszcze napisać o konstrukcji Prousta, o formalnej stronie Conrada (Karol twierdzi, że jest niedoceniona)...

Z Karolem parę dni temu byliśmy na śniadaniu u Irenki, bardzo było miło. Pogadaliśmy trochę; biedak robi smutne wrażenie, mówi że tak wszystko go męczy, na nic nie ma siły, a że ja niestety, podobnie się czuję (choć nie mam gruźlicy), więc tak gadając poszliśmy do Irenki pokoju zważyć się, i okazuje się, że jemu ubyło już w Warszawie 3 kg, a mnie przez wiosnę 2½. Przyjemna zabawa to ważenie się.

Karol pojechał następnego dnia do Zakopanego, gdzie wynajął sobie willę na całe lato. Cieszę się, że choć jest taki osłabiony i mizerny, ma jednak ochotę pracować i ma plany na przyszłość. Mówił mi, że chce teraz pisać „Veni Creator" do słów Wyspiańskiego, ucieszyłam się też bardzo, gdy mi powiedział, że pamięta wiersz Jurka Lieberta „Natchnienie bolesne", który mu się tak podobał

KAROL SZYMANOWSKI
na Kubie w r. 1921

zimą 1927 r. w Zakopanem, i żeby mu to przysłać, a może napisze do tego muzykę. Jakby się Jurek ucieszył!... Ciekawa jestem, czy Karol napisze kiedy muzykę do tego ostatniego czterowiersza z „Sądu ostatecznego" Słonimskiego, na co go kiedyś tak namawiałam, to tak nadaje się do jego muzyki, to crescendo i ten wzlot na końcu...

U Karpowicza w Zakopanem w r. 1922: Anna Iwaszkiewiczowa, Karol Szymanowski, Jarosław Iwaszkiewicz, St. Ign. Witkiewicz, Stanisław Mierczyński, Jan Mieczysławski

Stawisko, 28 grudnia 1931.

Spędziliśmy przedwczoraj cały dzień z Karolem, przyjechał do nas na obiad... po każdem dłuższem widzeniu się z nim żal mi poprostu, że jego słowa idą w niepamięć. Szkoda, że nie pisałam o nim latem... Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć, że Karol pomimo wszystkich przykrości, związanych z akademją muzyczną i jej zamknięciem, zmęczenia ludźmi, którzy falangami wprost nachodzą go w „Bristolu", wygląda doskonale, jest pogodny i zawsze, pomimo zmian, które wiek i forsowne utycie w nim dokonały, tak pełen uroku, że każda chwila z nim spędzona ma swoją niezapomnianą wartość. Mówiliśmy dziś o tem z Jarosławem, że on ma to co mieli niektórzy wielcy ludzie, np. Napoleon (podobno ma to też Piłsudski), ten czar zniewalający, który w osobistem obcowaniu nawet wrogów obezwładnia. Jest to jakaś emanacja duchowa, ale i urok fizyczny, w głosie, w spojrzeniu. Zawsze żałuję że prawie wszystkie fotografje Karola są takie fatalne; nawet niektóre młodzieńcze są straszne, a co gorsza, śmieszne. Niektóre amatorskie, np. ta, którą my mamy, zrobiona na Kubie, dają pewne wyobrażenie o jego uśmiechu i są podobne, ale żadna nie oddaje niesłychanego wyrazu jego oczu, a to jest właśnie w nim takie niezapomniane, to co takie na wszystkich robi wrażenie. Właśnie wczoraj (raczej przedwczoraj) przez chwilę kiedy siedzieliśmy przy fortepianie i mówiliśmy o Chopinie, Karol wziął parę nut i potem zamyślił się, spojrzałem na niego, i oczy jego były w tej chwili tak dalekie, tak zaziemskie, jak mogą być tylko oczy człowieka, który poza zwykłem ludzkiem (ach, arcyludzkiem!) życiem, żyje jednocześnie w jakiejś innej płaszczyźnie, w jakiejś innej rzeczywistości, stokroć od tej naszej istotniejszej. Przypomniałam sobie jaki był wtedy, kiedy poznałam go w 1916 r. w Kijowie u Spiesów i „mało co się w nim nie zakochałam". Jakie to zabawne (proustowskie) że poznałam go już potem niejako drugi raz przed samym ślubem, na którym był potem świadkiem, i już wtedy był dla mnie jako człowiek — jedynie kuzynem mego męża. Wracając do tej jego wizyty powiem, że została mi nadzwyczaj miłe wspomnienie...

Po obiedzie, który Karolowi bardzo smakował (lubi dobrze zjeść), siedzieliśmy ciągle przy choince, wzruszyło mnie zainteresowanie się Karola dziećmi. On wogóle tak dzieci lubi i z taką czułością się do nich odnosi. Parę razy dziewczynki wołał do siebie, rozmawiał z niemi, głaskał po główkach, ale jakby rozumiejąc moje (nigdy nie wyznane oczywiście) obawy, nie pocałował ich. Żal mi się zrobiło, kiedy przed wyjazdem nachylił się do Tereni, jakby chciał ją pocałować, i cofnął się, przypomniawszy sobie, że może bałabym się tego. Mówiliśmy dużo o Chopinie à propos numeru chopinowskiego „Revue Musicale", do którego Karol też pisał. Karol mówił to co ja zawsze myślę o Chopinie, że całe jego powodzenie za życia było tylko powodzeniem jego osobistem, jako czarującego człowieka i niezwykłego pianisty. Muzyka jego a przynajmniej to co w niej jest najlepsze, nie mogło być docenione przez współczesnych. Karol wziął parę nut mazurka b-moll jako przykład. „Komu sto lat temu to się mogło podobać" — powiedział. Mówiliśmy o niezwykłości harmonji chopinowskiej, o nagłych modulacjach, o nastroju dziwności („dziwności istnienia!" — jak mówi Witkacy), który tak jaskrawo występuje w jego muzyce. Dla mnie taka właśnie dziwność istnienia jest przedewszystkiem w straszliwem preludjum a-moll — właściwie to już nie jest dziwność, ale potworność, rozpacz i zniszczenie wszystkiego — ale np. i w takich niesamowicie pięknych momentach, jak zakończenie etiudy e-moll, ta pasja, która się wyraża w brutalnych trylach, powtarzanych tak uporczywie, a także w perwersyjnem wyrafinowaniu „Barkaroli". Karol mówił, że „dziwność istnienia" (operowaliśmy tym terminem nie mając innego słowa) czuje najbardziej w „Berceuse", w akordach przychodzących przed ostatnim powrotem tematu, także w czwartej balladzie, oczywiście w „Polonaise-fantaisie". Graliśmy także różne góralskie „nuty", a także kolędy przy palącej się choince. Pytałam się Karola, co słychać z „Litanją do Matki Boskiej" do słów Jurka, którą ku wielkiej mojej radości Karol wybrał z posłanych mu przeze mnie „Guseł" i zaczął pisać latem. Mówił mi, że narazie przerwał to pisanie w Warszawie spowodu wszystkich kłopotów i zawracania głowy z akademją. Mam nadzieję jednak, że wróci do tego, i mam przekonanie, że to będzie jedna z lepszych jego rzeczy. Słowa tak nadają się do muzyki Karola. Ma to być na orkiestrę z sopranem solo i chórem głosów kobiecych, albo może z chórem dyszkantów chłopięcych, co chyba może byłoby jeszcze piękniejsze.

Biedny Jurek już tego nie doczekał, i Karol mówił mi, że tak mu przykro, że ostatecznie do niego nie napisał, tak jak miał zamiar latem, kiedy zaczął pisać „Litanję". Pocieszałam go, że on może choć „jednem uchem" z tamtego świata to usłyszy!...

A propos tego, co ktoś opowiadał o pianiście D., który mówi do Paderewskiego, że dzieci płaczą kiedy on gra „Nokturn Pana Prezydenta" — Karol zaimprowizował na poczekaniu taki „nokturn Pana Prezydenta", ideał poprawnej i wzruszającej „pièce de salon". Uśmieliśmy się bardzo. Szkoda że już tego nie pamiętamy. Wyjechali koło siódmej wieczorem, umawialiśmy się na zobaczenie się w Warszawie, bo już zaraz po Nowym Roku Karol jedzie do Zakopanego i pewnie do lata będzie tam siedział. Teraz kiedy rzeczywiście nie pije alkoholu (prócz piwa, które mu zalecają w dużych ilościach), Zakopane jest dla niego zbawienne: powietrze dobre dla jego płuc i spokój konieczny do pracy.

Kopenhaga, koniec stycznia 1933.

Czar motywu IV symfonji owiewa mnie, napełnia całą. Karol przyjechał z Ficiem w niedzielę wieczorem; był nadzwyczaj serdecznie przyjęty w poselstwie, gdzie zamieszkał, bo u nas niema ani łóżka ani kanapy rozporządzalnej. Przychodził do nas grać zrana, byłam na próbie, wieczorem 19-go był koncert. Ten dzień jest niezapomniany, dawno takiego w życiu nie miałam, nigdy właściwie, bo nie zdarzyło mi się słyszeć takiej muzyki **dwa razy dziennie.** Symfonję słyszałam stąd dwa razy przez radjo, ale bardzo źle, tak że teraz dopiero miałam tę rozkosz w całej pełni. Nie wiem, czy to nie jest najpiękniejsze dzieło naszej epoki. Pamiętam wrażenie swoje po III symfonji, po koncercie skrzypcowym. A jednak teraz, biorąc objektywnie, czysto muzycznie, to jest chyba bardziej **doskonałe.** Zdawałam sobie sprawę z tego co słyszałam dotychczas ledwo ledwo przez radjo z pierwszej i trzeciej części. Druga była właściwie dla mnie niespodzianką; wydawało mi się, że jest to liryczne „anielskie" larghetto, a tymczasem jest to może najpotężniejsza część całej symfonji. To narastanie bez ostatecznego blasku instrumentów, jakby olbrzymi oddech nie mogący się wydostać całkowicie („diese Steigerung"). Jest w tem coś groźnego, pięknego w swej grozie, jak obroty ciał niebieskich. Nie dziwię się, że ta właśnie część (czułam to wyraźnie) największy wywołała niepokój, protest, chwilami jakby popłoch na sali. Dopiero po tej reakcji publiczności zdałam sobie sprawę, jak nowe jest to dzieło. Dlaczego w Warszawie powitano to jako coś właściwie łatwego, dlaczego zachwycił się tem nawet stary Niewiadomski, a złośliwie o „kompromisie" przebąkiwał Stromenger — nie rozumiem. Najzabawniejszy był Karol, który również w to uwierzył, i kiedy mu mówiłam o reakcji sali, był szalenie zdziwiony; powiedział, że jemu zdawało się że tym razem napisał „eine Unterhaltungsmusik". Zawsze mnie dziwi i irytuje, że Karol nie rozumie, iż łatwe powodzenie nie jest powodzeniem. Zdawałoby się że nie ma większej „verité de la Palisse". I ja bez ceremonji mówiłam mu o tem co obserwowałam, ciesząc się z tego, bo tylko dzieło genjalne może wywołać taki niepokój; myślę że gdyby Duńczycy nie byli takim ospałym narodem, byłyby gwizdy. Tego już Karolowi nawet nie mówiłam, ale czułam że oklaski końcowe oficjalne i zdawkowe (prócz orkiestry, która zagrała fanfarę), zrobiły mu większą przyjemność. Nie mogę zrozumieć w takim człowieku jak Karol tej naiwnej próżności, żądzy łatwego powodzenia, która właściwie nie jest zarozumiałością przeciwnie, raczej skromnością, gdyż dowodzi, że nie zdaje on sobie sprawy ze swojej wielkości.

Szalenie był miły wieczór po koncercie, urządzony przez dyrektora „Radiofoni". Pod koniec, kiedy już część osób odeszła i poprzesiadaliśmy się, rozmawiałam długo z Karolem à propos symfonji; wpadliśmy wreszcie na Jeansa, i on mówił mi, że — „Nowy świat fizyki" zrobił na nim takie szalone wrażenie. „Wszechświata" jeszcze nie zna. Wracaliśmy samochodem razem, odwoziliśmy najpierw Ficia, potem Karola; Jarosław wobec tego siedział przy szoferze, ja między panami. Słyszeliśmy, że szofer mówił coś Jarosławowi o swoim małym synku, który urodził się dziesięć dni temu. Jarosław mu powiedział:

— Prawda, jakie to dziwne uczucie dotknąć pierwszy raz ciałka swego dziecka?

Karol to posłyszał i powiedział jak gdyby mimowoli:

— A ja już nigdy nie dotknę ciałka mojego dziecka.

Ja wyrwałam się dość głupio:

— Ach, mój drogi, tak lubisz dzieci, niema jeszcze nic straconego!

— O już teraz za późno!

Ja znów bez sensu:

— Ale w każdym razie powinieneś żałować tego (idjotka!!!).

— Żałować to inna sprawa, ale że za późno, to za późno. — I jeszcze po chwili ciszej jakby z żałosną zaciętością: — C'est trop tard!

Zrobiło mi się go szalenie żal, bo pewnie nie tylko o wieku swoim myślał, ale i o chorobie. Dojechaliśmy do hotelu Ficia, i nastrój się przerwał.

Anna Iwaszkiewiczowa.

Kopenhaga 1933: Karol Szymanowski, minister Michał Sokolnicki, Jarosław Iwaszkiewicz, Grzegorz Fitelberg

Berlin 1934: Aleksander Janta-Połczyński, Karol Szymanowski, Anna Iwaszkiewiczowa, Jarosław Iwaszkiewicz

STANISŁAWA KORWIN-SZYMANOWSKA

WSPOMNIENIE

Było to w r. 1927 w Rzymie.

Najpierw wielki koncert symfoniczny z III symfonją pod dyrekcją Fitelberga, a w parę dni potem koncert kameralny — utwory skrzypcowe (przeważnie Szymanowskiego) — Irena Dubiska i śpiewacze — ja, przy fortepianie sam Karol.

Z próbami była rozpacz — na każdą nieśmiałą prośbę o próbę, „choćby małą próbkę", odpowiedał niezmiennie:

— Złotko, naco nam ta próba?

Dubiska i ja byłyśmy w wiecznej pogoni i trosce o te próby.

— Irenko, naco nam ta próba?

Układanie programu, w którym brał udział sam Karol, było też bardzo trudne, był bardzo wybredny. Tu i ówdzie mały „kompromisik" (jak mawiał) na rzecz moich czysto głosowych „pragnień", ustępstwo, które się rodziło jedynie z jego wielkiej czułości braterskiej i które się odbywało mniejwięcej tak:

— Błagam cię, Katotku, pozwól mi to zaśpiewać, widzisz, to tak rozkosznie się śpiewa!

— No dobrze złotko, ale tylko to jedno!

O dziwo, do tego programu czysto pieśniowego pozwolił mi włączyć arję z „Halki" z aktu IV, bo mówił, że strasznie lubi kołysankę „O mój maleńki...", wzruszała go zawsze, tylko błagał mnie, abym na tem skończyła.

— Nie cierpię tego wrzasku, który potem przychodzi!

Ja jednak lubiłam ten „wrzask", sprawiało mi przyjemność nareszcie móc się wyśpiewać.

Katot się wreszcie zgodził i na ten „kompromisik", tak się przynajmniej zdawało. Stoję i śpiewam, kończę kołysankę: „O mój maleńki...", za mną Katot akompanjuje swojemi czarodziejskiemi palcami, coraz ciszej... ciszej... „na wieczny sen"... na wieczny sen"...

Wreszcie zbliża się t. zw. „wrzask": nabieram oddechu, otwieram usta, mam zawołać w niebogłosy: „A serce gdzie? Hej Jaśku, gdzie?".

Za mojemi plecami cisza, czekam chwilę, nic, cisza, fortepian milczy! Odwracam się z niepokojem, a Katot patrzy na mnie i uśmiecha się złośliwie, a zarazem słodko.

Wysokiego „la" nie wzięłam, a Katot potem pocałował mnie i powiedział:

— Nie gniewaj się złotko, ale wierz mi, że tak było daleko ładniej!

Stanisława Korwin-Szymanowska.

LERJA KASPROWICZOWA

JESIEŃ

Harenda, 27 października 1935.

Chłodny, jesienny wiatr rzucał się na nas niecierpliwie i porywczo, gdyśmy szli do Szymanowskiego. Ognie zanurzającego się w mrok miasteczka jarzyły się w oddali, za temi ogniami stała wysoka ściana gór...

Od tygodnia Szymanowski znowu źle się czuje, gorączkuje. Idziemy go odwiedzić i jednocześnie pożegnać. Wyjeżdża do Belgji z koncertami, wyjeżdża może na długo. W powietrzu unosi się zapach zwarznoych liści, które osypują się na chodnik. Nawet światło elektrycznych latarni nie gasi złocistej jesienności drzew...

Szymanowski już od dziesięciu lat mieszka w tym niewielkim drewnianym

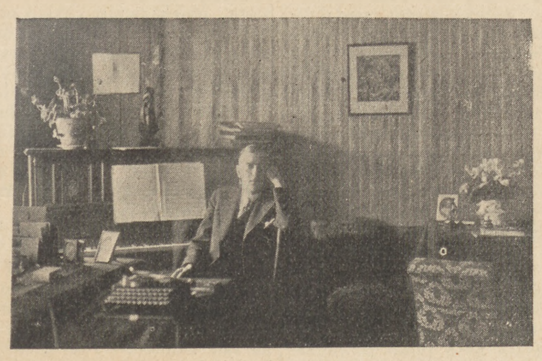

Karol Szymanowski w „Atmie"

domu na jednej z cichych ulic Zakopanego. Dom jest położony w kotlince i nie daje zbyt rozległego widoku. Mimo to Szymanowski jest bardzo przywiązany do swego mieszkania i do swoich gospodarzy-górali.

Pukamy do drzwi, potem do okna. Story są spuszczone, lecz w saloniku jest jasno. Karol sam otwiera nam drzwi. Ma na sobie miękki, wełniany piaskowego koloru szlafrok i czarne lakierowane pantofle. W pierwszej chwili jest trochę zażenowany, że nie zdążył się ubrać, a jednak nawet w tym negliżu, robi wrażenie człowieka który ma na sobie strój wieczorowy. Przeprasza, lecz za chwilę już przestaje o tem myśleć: znamy się od tylu lat.

Niewielki pokój niczem nie różni się od innych pokojów tego samego typu. Lecz ten kto przestępuje jego próg jest przyjemnie uderzony jego nastrojem: dwie lampy o matowych abażurach rzucają spokojne, równe światło. Szymanowski zgromadził wśród tych ścian wszystko co posiada (o, jakże niewiele!) i lubi: fortepian, kilka pięknych makat, kilka obrazów, trochę książek, a przedewszystkiem fotografij bliskich mu ludzi. Fotografje te żyją wyjątkowo intensywnem życiem, jako przedmioty, na które często się zatrzymują pamiętające oczy kogoś, kto je — własnoręcznie powiesił lub rozstawił. Nie są tylko ozdobą w tym pokoju.

Jak dawno tutaj nie byłam? Chyba dwa, może nawet trzy lata minęło od ostatnich moich odwiedzin, od tych wieczorów gdy z odległej Harendy przyjeżdżaliśmy na te przyjemne zebrania, które Karol od czasu do czasu u siebie urządzał. Wszystko zostało po dawnemu (przybyło może kilka fotografij) a wszystko wydaje się jak gdyby oddzielone od tamtych czasów tym właśnie nastrojem jesiennego zmierzchu. Patrząc na wychudłą, o nieco ziemistej cerze twarz Szymanowskiego, której rysy wyraźnie się zaostrzyły i jak gdyby odmaterjalizowały, na jego długie artystyczne ręce, które obecnie jeszcze bardziej wyszczuplały, na jego wąską stopę o kostce cieńszej niżeli dawniej, nie mogę oprzeć się uczuciu że jestem w tej chwili świadkiem niezwykłego życia, które dobiega kresu... Czuję zapach jesieni w tym pokoju, jak tam, na dworze: — zapowiedź ostatniej samotności.

Jest sam. I dlaczego tak bardzo sam? On, tak hojnie rozrzucający skarby swego uczucia. Gdzie są ci wszyscy zajmujący miejsce w jego życiu? Czy kochał napróżno? Może jednak nie napróżno? Może przelał miłość w swoją muzykę?

Tego wieczoru pragnę tak bardzo zajrzeć głębiej do jego serca, aby móc odczuć czego najbardziej mu brakuje, dlaczego jest tak smutny?

Gdybym go o to spytała, odpowiedziałby napewno z tym swoim miłym, cokolwiek ironicznym uśmiechem, dyskretnie zasłaniającym to najbardziej w nim istotne, że brakuje mu przedewszystkiem pieniędzy... I to jest głównym powodem tej szarej beznadziejności, która całunem powlokła jego życie w ostatnich latach — zmora przeszkadzająca w pracy i która zużywa ostatek jego sił.

Artysta! Czemże jest ten dziwny gatunek człowieka jeżeli nie nadmiernie wrażliwym i świadomie funkcjonującym organizmem duchowym: jeden włosek, czasem pyłek wpadł pomiędzy tryby, i coś się zepsuło. Zatrzymało się nieodwołalnie. Czy można się dziwić żałosnej skardze Szymanowskiego? Czy jego to była wina, że nie należał do t. zw. „silnych", umiejących walczyć o życie? Że się łatwo załamywał? Muzyka przemieniła każdą cząstkę jego ciała, wysubtelniła i zatarła wyrazistość jego konturów, wszczepiła w nie tę miękkość, jak gdyby kobiecość, rozpuściła w swoich tonach to, co mogło się stać podstawą dla odporności. Muzyka wreszcie wsączyła mu w krew odrazę do spraw konkretnych. Ale czy zmniejszało to w czemkolwiek jego wartość? Czy mniej od innych kochał ojczyznę? Czy nie posiadał wysokiego poczucia swojej odpowiedzialności wobec niej? Jej duszę chciał wyrazić za pośrednictwem swojej własnej. Chciał służyć ojczyźnie na każdem polu, przyczynić się do jej budowy w pierwszych latach jej zmartwychwstania. Wyparty został przez nieżyczliwych i przez wrogów. Był za wytworny, aby przeciwstawić się przemocy, bronić swego miejsca na terenie życia społecznego.

Po tej boleśnie odczutej porażce wrócił do jedynego przytułku, do tego domku w górach, który zawierał wszystko co posiadał. Szukał ukojenia w muzyce, porwała go nanowo, mocniej aniżeli dawniej. Coraz bardziej stawała się jego ucieczką, albowiem los zabierał mu pokolei tych których kochał, którzy stanowiliby jego moralne oparcie. Przed dwoma laty umarł w Ameryce serdeczny jego przyjaciel, skrzypek Paweł Kochański, z którym wspólnie pracował w „Atmie" nad nowemi utworami. Ciężko przeżył tę stratę.

Zapytałam go pewnego razu, umyślnie znienacka:

— Panie Karolu, proszę mi powiedzieć, **dlaczego** pan tworzy?

Odpowiedział bez namysłu, z tą prostotą, która zawsze była jego największym wdziękiem:

— Tylko dlatego że robi mi to przyjemność...

Człowiek najmniej pretensjonalny ze wszystkich których znałam.

Usiedliśmy na kanapce i na fotelach przy stole, na którym leżało kilka pięknie oprawnych książek. Nawiązując do pewnego wspomnienia, które nagle ożyło, zwracając się do gospodarza, powiedziałam:

— Czy pan pamięta ten wieczór, kiedy siostra pana zaśpiewała „Święty Boże"?

Oto kilka szczegółów. Pewnego dnia, jakieś pięć lat temu, w tym okresie, kiedy Szymanowski już miał stałą siedzibę w Zakopanem, zaprosił do siebie grono najbliższych przyjaciół. Tego wieczoru miała śpiewać u brata Stasia Szymanowska, świetna interpretatorka jego pieśni i utworów muzycznych. Wszyscy obecni niecierpliwie oczekiwali tej chwili gawędząc w saloniku. Jasne, a jednakże za-

Karol Szymanowski, Marja Kasprowiczowa i Zofja Nałkowska

wsze przytłumione nieco światło, tak charakterystyczne dla atmosfery pokoju, obejmowało niewielki zespół ludzi, nadając twarzom i rzeczom wspólny nastrój. Za postaciami uśmiechniętych ludzi, w ramach pod szkłem uśmiechały się zwodniczo inne, mniej realne postacie: uczniów, artystów, przyjaciół. Pomiędzy nimi Lifar, boski tancerz, zawieszony w powietrzu jak wygięty łuk.

Szymanowski siadł przy fortepianie. Zrobiło się uroczyście w pokoju. Umilkły głosy. I zabrzmiał wśród ciszy tylko jeden wysoki, silny kobiecy głos: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny!". Po raz pierwszy słyszałam ten utwór, w którym zespoliły się w jednem cudownem napięciu dusze poety i wielkiego muzyka.

Pokój stał się nagle za ciasny, aby pomieścić te dźwięki. Siła ich rozrywała powietrze i duszę. Potęga tonów wyciskała z oczu łzy. Ciekły po policzkach kogoś siedzącego przy mnie.

Szymanowski oderwał ręce od fortepianu, podniósł się i patrzył w moją stronę. Wiedział, że nigdy przedtem nie słyszałam tego utworu, w którym została podniesiona do najwyższej potęgi cząstka ducha bliskiego mi człowieka.

W odpowiedzi na jego spojrzenie szybko wstałam i poszłam mu naprzeciw. W środku pokoju zatrzymaliśmy się obok siebie. Wyciągnęłam do niego rękę i uścisnęłam jego dłoń.

— Czy pani się to podobało? — zapytał.

— Nie przypuszczałam że będzie to aż tak piękne!

— Wobec tego niech mnie pani pocałuje — poprosił z ujmującym uśmiechem.

I nie zważając na obecnych, którzy mogli nie zrozumieć znaczenia tego symbolicznego pocałunku, dotknęłam wargami twarzy Szymanowskiego.

Kiedy dzisiaj przypomniałam mu tę chwilę, powiedział:

— Wie pani, pani Marusiu, że Kasprowicz należał do tych ludzi, którzy nie tylko jako poeta („Hymny" były jednem z największych przeżyć w mojem życiu) lecz i jako człowiek robił na mnie potężne wrażenie. W jego obecności czułem się zawsze trochę onieśmielony...

Zdolność do podziwiania, czyż nie jest — pomyślałam — dowodem obecności w tym, który uwielbia, tej samej iskry natchnienia? Karol posiadał ten rys w najwyższym stopniu.

Tego wieczoru, może dlatego że czuł się osamotniony, mówił o przyjaźni:

— Trudno — zaczął — po Anglji przyzwyczaić się do tutejszych stosun-

Karol Szymanowski w „Atmie"

ków. W Anglji ludzie nie prędko się zbliżają, są raczej ostrożni, lecz z chwilą gdy do kogoś nabiorą zaufania, jest ono trwałe. Wiem że mogę wiele lat nie zobaczyć takiego przyjaciela, nie pisać do niego, a spotkawszy go znajduję go takim, jakim go zostawiłem. U nas w Polsce dużo odrazu okazuje się uczuć na zewnątrz, tak dużo że nasuwa się wątpliwość, czy są prawdziwe. Tak, — zakończył, — poziom kultury w Anglji, trzeba to przyznać, jest bardzo wysoki, i najlepiej to widać na kulturze pojedyńczych jednostek. Lojalność jest tam podstawą wzajemnego stosunku między ludźmi. Poznałem — opowiada dalej — podczas ostatniego pobytu w Londynie Huxleya. „Wy tam na kontynencie — powiedział do mnie — nie zdajecie sobie sprawy z jednej rzeczy: do jakiego stopnia my Anglicy jesteśmy przesiąknięci Biblją i jej tradycją niezależnie od tego w co wierzymy i jak wierzymy. Każdy z nas ma ją we krwi bardzo głęboko".

Rozmowa dotknęła aktualnego tematu, Abisynji i nieszczerego stanowiska Anglji w tej sprawie, która pod pozorem obrony praw „pokrzywdzonego narodu" stoi nieubłaganie na straży swoich kolonjalnych interesów i wpływów w Afryce. Szymanowski mówił o tym z oburzeniem: cóż za potworna komedja!

— Tak jest, komedja ze strony rządu, — dorzucił ktoś z obecnych, — lecz nie ze strony społeczeństwa angielskiego, szerszych jego warstw. Napewno szczerze współczuje niedoli chrześcijańskiego, biblijnego ludu.

— To możliwe, — przytaknął Szymanowski, — bo nigdzie niema większej przepaści między polityką a społeczeństwem aniżeli w Anglji; między wstrętną, bezwzględną polityką i jej metodami a ludźmi. Co to mówić, Anglja to jest wielki naród!

Czy w tym fakcie podziwu Szymanowskiego dla obcego narodu nie tkwiło podświadome zatroskanie spowodu braków własnego? Słyszałam pewnego razu zdanie dość ogólnikowo przez niego wypowiedziane, lecz jakże łatwo dające się zastosować do niego samego: „Nie może być inaczej z chwilą gdy człowiek miał nieszczęście urodzić się Polakiem".

Lecz jeszcze bardziej ciekawe jest to że zdanie to słyszałam nie tylko od Szymanowskiego, lecz po raz pierwszy padło ono z ust Kasprowicza, który przecież, jak i Szymanowski, kochał ojczyznę z tragiczną pasją i tylko w Polsce czuł się dobrze.

Może niewidzialny był z nami. Bliższy tego jesiennego wieczoru Szymanowskiemu aniżeli kiedykolwiek za życia. Bliższy poprzez tę ostatnią nadciągającą samotność: miłość do gór, do ziemi rodzinnej, bliski człowiekowi, który wśród tych sosnowych ścian, jak i on niegdyś, pragnął zaśpiewać swój ostatni, najszczytniejszy śpiew łabędzi.

18 kwietnia 1937.

I tak ten wieczór w jesieni przed dwoma laty był rzeczywiście ostatnim. W chwili pożegnania uścisnęliśmy sobie mocno dłonie. W oczach jego, gdy podniósł je na mnie, było coś tak smutnego że drgnęło mi serce przeczuciem ostatecznego rozstania.

Na biurku leżała jego fotografja: oparty o poduszki sofy siedzi sam, mając na twarzy głębokie cienie wieku dojrzałego, cienie które zdają się padać na jego rysy z innego, mrocznego świata. Źrenice zatroskanych oczu przenikliwie patrzą w jeden ośrodek, skąd zdaje się ku niemu zbliżać postać nieznajoma, budząca grozę. Oczekuje jej, tragiczny i zrezygnowany.

— Panie Karolu, proszę mi dać tę fotografję.

Wziął ją ze stołu jednocześnie z piórem. Napisał na niej kilka słów. Były to ostatnie jego słowa do mnie.

Marja Kasprowiczowa.

ZOFJA NAŁKOWSKA

O SZYMANOWSKIM

Za młodych lat, w pogodne południe wiosenne, pewna kobieta pokazała mi go na ulicy.

— O ten — powiedziała. — To muzyk Szymanowski. Jest piękny i kuleje, widzi pani? Jak Byron.

Miejsce było puste, zalane słońcem, obraz nadchodzącego człowieka dał się dobrze ujrzeć i zapamiętać.

Zanim nas minął, dowiedziałam się, że pani X., młoda, niebieskooka i różowa, truła się przez niego. A potem wpadła w melancholję i odtąd jest nienormalna.

W wiele lat później poznałam Szymanowskiego osobiście na międzyzwiązkowem zebraniu w lokalu dawnego Klubu Artystycznego w „Polonji". Skądś przyjechał, był na krótko w Warszawie. Przyśpieszonemi, niegłośnemi słowami mówił ze mną o pewnej książce. Dziwił się, że napisana została w Polsce, tak jest pełna treści nieoczekiwanej i zastanawiającej. Był łagodny, cichy, jakby cokolwiek zasmucony czy nieśmiały, nic nie podobny do tamtej interpretacji pierwszego widzenia.

Znowu po przerwie — jedno czy dwa spotkania w radzie artystycznej Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych. O nieobecnym później mówiono, że jest ciężko chory i leczy się w sanatorjum w Davos.

Mało jeszcze wówczas znałam muzykę Szymanowskiego, którą słyszałam rzadko i za każdym razem po raz pierwszy. Miałam na własność tylko jedną jego etiudę, która mnie zachwycała (b-moll, op. 4). Odegrał ją niegdyś u mnie, znacznie później — ze smutkiem i niechęcią, bo jej — jako młodej jeszcze i dawnej — nie lubił.

Zbliżenie moje z nim i z jego muzyką nastało dopiero latem 1930 r. Narazie omijała mię jeszcze zdaleka. Tak na wiosnę, będąc spowodu premjery mojej sztuki we Lwowie spotkałam w windzie hotelu George'a panią Stanisławę Szymanowską. Powiedziała mi, że przyjechała na koncert, że tego wieczoru będzie we Lwowie odegrana „Stabat Mater" jej brata. Nie mogłam, niestety, zostać, wyjeżdżałam tego dnia. Dopiero znacznie później usłyszałam po raz pierwszy przez radjo z Krakowa ten ogromny wstrząsający śpiew.

Tegoż roku latem byłam w Zakopanem i kiedyś wieczorem, w towarzystwie St. Ign. Witkiewicza i przyjaciela jego, antropologa Malinowskiego, w sali „Morskiego Oka", na występie „Szopki warszawskiej", spotkałam Szymanowskiego po długiem niewidzeniu. Nie bardzo się zmienił i nie wyglądał źle. Ale jednak był cichszy, bardziej szary, niż przed chorobą. Powiedział, że przyjechał do Zakopanego na stałe, że tu już zostanie.

W tej samej sali „Morskiego Oka" odbył się wkrótce potem koncert Münzera. Usłyszałam wówczas po raz pierwszy Szymanowskiego „Maski". Prof. Jachimecki, którego poznałam wówczas, ofiarował mi swą świetną i pięknie napisaną książkę o Szymanowskim. Jego entuzjazm dla muzyki Szymanowskiego poparty był doskonałą kompetencją i na długo wyprzedził późniejszą o niej wiedzę. Tak powoli weszłam w obręb jej działania.

Było to dla mnie lato pełne pracy i zarazem najciekawszych zbliżeń z ludźmi. Prócz państwa Jachimeckich, Witkiewicza, widywałam wówczas Wyrzykowskiego, Rafała Malczewskiego, Chwistka.

O tym też czasie zjawiła się w Zakopanem wielka Solska, która przywiozła tam „Dom kobiet". U pani Jachimeckiej poznałam przybyłą na krótko Bandrowską-Turską. Później byli też w Zakopanem Wierzyńscy — wszystko przyjaciele Szymanowskiego. Znajomość z panią Kasprowiczową zawdzięczam również jemu. On to bowiem zawiózł mię po raz pierwszy na Harendę do domu i grobowca Kasprowicza. Parokrotnie odbywaliśmy później tę wiejską drogę końmi wzdłuż potoku, między wierzbami, w błocie i deszczu — jadąc na doskonałe rozmowy z panią Marusią. U niej poznałam skrzypka Perutza, który w parę lat później odebrał sobie życie w Ameryce.

Szymanowski od początku zamieszkał w najniższem miejscu Zakopanego, w osobnym starym domku drewnianym przy Czerwonym Dworze. Przez śliczny, zupełnie wiejski, gęsty i dziki ogród przepływał dołem, pośród zielonych zboczy, pod ciemnemi drzewami, huczący potok. Wychodzące na niebo, niebieskie i liljowe góry widać było ponad bliskiemi liśćmi, poprzez gałęzie — jakby nie w Zakopanem. Do domku Szymanowskiego szło się od pensjonatu przez dwa mostki drewniane, wysoko ponad łoskotem pośpiesznej, mamroczącej wody.

Byłam tam raz na popołudniowej herbacie z prof. Jachimeckim i jego żoną oraz Wyrzykowskim. Poznałam też wówczas młodego muzyka Perkowskiego i Uniłowskiego. Z ogrodu, po drewnianych schodkach weszliśmy na wysoką, płaską łączkę, gdzie w zachodzącym słońcu stały obok siebie dwa leżaki. Z tego miejsca i popołudnia mam parę zbiorowych zdjęć.

W pracowni Szymanowskiego oglądaliśmy z Wyrzykowskim wielkie, sztywne arkusze papieru nutowego, na którym pisał wówczas „Veni Creator" czy „Harnasiów". Dziwiła nas ta mnogość nieprzebrana znaków, mających zbiorowem swem brzmieniem wypełnić najkrótsze sekundy trwania. Zdawało się, że nierównie trudniej jest pisać orkiestrowe wielotorowe akordy, niż jednym tokiem idące słowa prozy. I o ileż bardziej tajemnicza jest natura tak wymyślnego natchnienia.

Szymanowski był miły, prosty, chętny, gościnny i wesoły, radował się każdemu. Ale jego wesołość, jego przyjaźń i czułość przygasała łatwo na chwile nieobecności, smutku czy zmęczenia.

Gdy zatrzymał się wówczas pod oknem na niedługą rozmowę muzyczną z Jachimeckim, gdy stojąc przy małem żółtem pianinie przegrywał pobieżnie jakiś frazes, dla nas niewtajemniczonych hermetyczny — jego wyraźne zmęczenie stawało się zrozumiałe. Te opusy, te tomy kompozycji, te dzieła mogące o każdej chwili wypełnić brzmieniem ogromnem wielkie sale koncertowe — to wszystko było od niego odjęte, o to wszystko był słabszy.

Szymanowski przyjeżdżał często do „Maratonu", gdzie wówczas mieszkałam. Mówiliśmy o książkach i tajemniczej naturze muzyki. Dziwiłam się, że chce o tem mówić z kimś, dla kogo musi jednak przechodzić do innego wymiaru, tłumaczyć samego siebie na inny język, transponować się na kategorje literackie.

Tworzenie nie przychodziło mu z trudem. Ale jednak ciążyła mu niedostateczność muzycznego wyrazu. Ktoby pomyślał! W muzyce bowiem, jak mówił, nie znajdował możności wyrażania myśli.

Pisałam wówczas drugą swą sztukę, która pierwotnie miała się nazywać „Domem zbrodni". I gdy z nim mówiłam o sprawach mego zawodu, ja ze swej strony nie musiałam nic adaptować do jego zrozumienia.

Tego lata Szymanowski poza twórczością był bardzo zajęty reorganizacją konserwatorjum, które daremnie przekształcił na akademję muzyczną, później bowiem, gdy przestał być jej rektorem, rzeczy wróciły do poprzedniego stanu. Dał mi wówczas rękopis ciekawej pracy o znaczeniu społecznem muzyki i szkic odczytu o Chopinie. Czytałam te teksty, zdziwiona ich stylem literackim. Szymanowski pisał trochę staromodnie, z konserwatywnym wykwintem formy. Kolony pełne treści, okresy harmonijnie domknięte. Nie umiałam sobie tego pogodzić z jego rozległą, szaloną muzyką. Zdawało się, że z chwilą gdy godził się na inny środek wyrazu, w samym sobie coś na ten czas odmieniał.

Szymanowski przyniósł mi też wówczas pierwsze utwory Uniłowskiego, w którego talent od początku wierzył.

Każda rozmowa z Szymanowskim była szczególną przyjemnością. Nie polegało to wyłącznie na tak zwanym kunszcie towarzyskim, który działa zwykle w rejestrach niegłębokich, ale na jego zamiłowaniu do przyjaźni, na zabezpieczeniu całkowitej wzajemności. Szymanowski nie tylko sam mówił „z najlepszego siebie", ale był też doskonałym odbiorcą. Nic nie szło na marne wobec niego, nic się w drodze nie zatracało. Był tak „akustyczny", że skłaniał tem również do myślenia głośno, pociągał do wynurzeń i zwierzeń.

Jego przyjaźń — napozór etykietalna, pełna opanowania i uważnej grzeczności — jednakże mobilizowała do wymiany zasoby wartości najbardziej istotne, najgłębiej osadzone, najszczersze. Był to — nawet nie biorąc w rachubę jego twórczości — jeden z najbardziej zajmujących ludzi, taki do tej wymiany skwapliwy, tak przytem umiejący przenikać siebie i innych, rozbudowany wewnętrznie, tak poa osłoną powściągliwego spokoju skłócony ze sobą i wieloraki.

Przez cały ten rok widywałam Szymanowskiego w Zakopanem naprzemian i w Warszawie — z długiemi przerwami spowodu moich, a później jego dalszych wyjazdów. W Warszawie słuchałam koncertów jego, bywałam z nim na próbach w Filharmonji. Jego muzyka w świetnych wykonaniach orkiestry pod dyrekcją Fitelberga, w śpiewie Szymanowskiej i Bandrowskiej-Turskiej, fortepianie Drzewieckiego i Kranza, w skrzypcach Kochańskiego i Hubermana, Dubiskiej i Umińskiej, stała mi się bliska i znana.

Moja inicjacja zaszła tak daleko, że po jednym z koncertów napisałam sobie jego psychologiczną interpretację. Zabrał mi później ten skrypt, i dziś już z niego to tylko pamiętam, co szczególniej mu wówczas odpowiadało: „Zmaganie się ze sobą raczej, niż ze światem".

Bo godził się na świat, lubił życie jakie jest, całą jego gamę, wszystkie szczeble. Dawał się odnaleźć we wszystkich jego instancjach — bez trudu, w sposób naturalny i sam z siebie wynikający. Lubił przyjaciół, kawiarnię, był towarzyski, gościnny, znał się na jedzeniu i piciu. Układał się ze swą muzyką, ze swym całym trudnym światem uczuć, jak mógł najbardziej po ludzku, nie żądając żadnych przywilejów, żadnych szczególnych, sobie tylko przysługujących praw.

Znajdował niezmierne upodobanie w przyjaźni, miał dar rzadki jednania sobie ludzi, wplatania ich w swą rozgałęzioną, bujną biografję. W każdym bowiem powoływał do głosu jakiś jego urok, dla innych niezauważony, umiał wyosobnić w każdym jakąś wartość, której sam wyznaczał cenę wysoką. Żył otoczony ludzką miłością i podziwem, zawsze zarazem gotowy do przejęcia się cudzą sprawą, cudzym losem, sam najchętniejszy do podziwu i zachwytu.

Ujęty dziś w ramę swej śmierci stał się inny, niż myślałam wówczas, gdy żył. Bo nie wydawał mi się tak bardzo chory, tylko raczej zmęczony. Gdy wśród ożywionej rozmowy, wśród doskonałych niedbałych żartów i wyśmiewań — gasł nagle i szarzał, obsuwał się w sobie, roztargniony i bezradny, myślałam zawsze, że tak wiele zostało od niego odjęte i oddane muzyce. Wydawał się wyczerpany przez to co wciąż odłamywał od siebie, tworząc. Widziałam wtedy poza nim masy wstrząśniętego i zorganizowanego jego muzyką powietrza.

Nie myślałam nigdy, że jest zagrożony tak ciężko, tak bezpośrednio, że ma już ten los swój wewnątrz siebie, nieodwrócony, że nosi go wciąż ze sobą, gdziekolwiek jest. Nie wiedziałam, że jego głos ściszony i matowy, którym się jednak śmiał, którym mówił nieraz lekkie i żartobliwe słowa, zapowiadał już od początku bliskość śmierci i tej śmierci postać tak wymyślną, tak jego samego przerażającą.

Jego urok, jego łatwość i prostota sprawiały, że można było z nim samym rozważać jego dziwną naturę, los zaiste przesadny, nad miarę powiększony, zobowiązujący bardziej, niż innych. Nie zdawał się tego chcieć, nie chciał tego napewno, ale było widoczne, że nie mógł inaczej. Zdeterminowany swym talentem czy genjuszem, ponosił wszelkie konsekwencje swej jakości, napróżno się łudząc, że wszystko jest jak u innych, że wszystko da się znieść i wytrzymać.

Zofja Nałkowska.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI

ROZMOWY Z SZYMANOWSKIM

Dzwonki, błoto, wiatr. Pogoda chmurna, światło siwe, na uliczkach potopniały śniegi, na dachach i polach jest jeszcze biało. Przeciągnęliśmy sankami, okutani w baranie dery, przez całą rozciągłość wsi: tu jeszcze udaje miasto, tam dalej jest już prawdziwa, tam dalej czeka na nas dworek drewniany zaciszny, pogodny: „Atma".

Pierwszy raz widzę Karola w jego własnym, ulubionym świecie. Całem napięciem pamięci, skupieniem wszystkich zmysłów, ostrożnie, aby wspomnień nie spłoszyć, cofam się w tamte dni. Nie, nic się nie zmieniło, zjechaliśmy się całą kompanją, pamiętam rozkład pokojów, więc tu jadalnia, a obok salonik i jeszcze drugi maleńki, obrazy, kilimy, meble, światło — otrzepywanie butów ze śniegu na werandzie, znajome twarze zaglądają do okien — po drugiej stronie jadalni pokój Karola, sam mieszkam na drugiem piętrze, ale teraz już zeszliśmy się wszyscy nadole, zaraz siadamy do stołu, jamnik Uduś kręci się między nogami, Lechoń powiada że jamniki należą do gatunku psów, które trzeba na noc wstawiać w prawidła, widzę Karola uśmiechniętego, dużo pali, trochę kaszle, twarz ma bardzo zmęczoną, ale ze światłem w oczach i radością — ach, z jaskrawego w pamięci zjawiska, z jednego obrazu, z jednego epizodu w życiu, którym była ta zakopiańska wyprawa z Lifarem, rosnąć zaczyna odnowa świat cały drobnych szczegółów, świat cały rozdrabnia się na cząstki, i każda z nich nagle posiada ogromną cenę, wartość tak samo ważną, tak samo niezastąpioną, jak była nią jego przyjaźń. Myśl cofa się tak łatwo jakby nie było tego czarnego progu, o który potknąć się musi wyobraźnia, o którą rozbić się musi każde uczucie, zdążające pamięcią do wspomnienia przyjaźni. Przebywa raz jeszcze tę powrotną podróż, zanurza się w siebie, omija przerażona tę grobową rafę, która wszystko co ludzkie kończy, która zostawiła tylko sztukę a zabrała człowieka i przyjaciela. Nie — myślą go jeszcze posiadam żywego w świecie naszych ludzkich trosk, naszych powszednich spraw, naszego zwykłego życia, które podobno jest najtrudniejszą ze sztuk. Jednał nas sobie człowiek naturą swego człowieczeństwa. Podbijał, nieraz wbrew nam, artysta. Te dwie wielkości stopione w nim były w jedno. Widzieliśmy na codzień człowieka, który był najwyższem wcieleniem tego wszystkiego co rozumiemy pod pojęciem kultury. Istniał dla nas jako jej odbicie. Ale istniał pozatem sam jako źródło, jako siła twórcza. Jako jej budowniczy i jej prorok i jako taki był poza nami, ponad nami — sam. Tą siłą bez słów promieniował. Przepełniony nią był, jak światłem, wszystkie cechy jego bogatej natury, wszechstronność, rozpiętość, głębia mnożyły się tylko w miarę lat: piękniał nam w oczach. Człowieka dzisiaj płaczemy, wielkość jego uznawszy już dawno.

*

Sam z Karolem. Goście powyjeżdżali. Karol nienajlepiej się czuje, skarży się na jakieś bóle w boku, zażywa pigułki, nie wstał jeszcze. Jest bardzo cicho w domu i naokoło. Na nocnym stoliku widzę grubą książkę. Czytał pewno późno w noc, myślę sobie. Mówi, że czy-

Przed „Atmą": Jan Lechoń, Serge Lifar, Aleksander Janta-Połczyński, Karol Szymanowski, Jan Tarnowski, Rafał Malczewski, Lidja Kruszyńska

tał rano. Rozmawiamy o tej książce. Nie umiem sobie przypomnieć jej tytułu. Ale pamiętam biurko, listy zaczęte, korekty, walizki. Dzień nagle zdaje się niesłychanie obszerny, długi, tyle w nim można zmieścić bez najmniejszego pośpiechu. Ale mieszczą się przedewszystkiem rozmowy. Karol przez cały ten czas nawet nie dotknął fortepianu. Więc go teraz po obiedzie proszę żeby zagrał. Gra — patrzę na niego pod światło, twarz ma zupełnie spokojną, profil rysuje się ostro na tle siwego obrazu za oknem. Światło w pokoju jest teraz pod wieczór zimowy znowu bezbarwne, ale wydaje się że obrys tej głowy nad fortepianem pała, że promieniuje, że nasycony jest od wnętrza blaskiem. Nigdy mi się nie wydał taki piękny jak właśnie w tej chwili. Gra dwa mazurki. Nie odwraca głowy, aż dopiero kiedy skończył. Zamyka fortepian. Mówi coś o tej swojej muzyce, ale zbywa ją słowami, że to nieważne. Kaszle. Siadł naprzeciw okna — teraz pada na niego odbicie gasnącego dnia.

Przeżywał chwile płynące jak gdyby zbierając zapasy na drogę, co go czekała. Wyjazd jeszcze tego wieczoru. Wyjazd, który przestrasza, nuży już naprzód, zniechęca. Wyjazd na jakieś koncerty właśnie teraz, kiedy potrzebowałby spokoju wielu tygodni, aby jeszcze coś zrobić, coś napisać. Odrywa go i rozprasza ta świadomość, pozbawia odwagi do pracy. Kosztuje jednak z widomą zachłannością tych godzin, jakie mu jeszcze pozostały. Z przymkniętymi oczami siedzi. Z pianina zdjąłem zeszyt nut z jego muzyką, a widząc któryś tam dziesiątek opusu, zapytałem, gdzie jest reszta jego rzeczy, gdzie nuty wydane, gdzie rękopisy. Odpowiada jakby zniechęcony, że nie zbiera, nie dba o to. Jakieś nuty leżą na fortepianie — to te właśnie z których ćwiczył trochę przed występami z orkiestrą, jakieś korekty stosem zaległy stół. Nie cierpi grania na fortepianie i robi to jedynie z musu. I z musu wraca do własnych rzeczy zamiast iść naprzód, zamiast odrzucać to co już jest przezwyciężone. Cóż robić, musi — dla zarobku. I to jest właśnie nieznośne.

Mówimy o dniu wczorajszym. W słowach Karola jest teraz nuta sarkazmu. Więc co, Lifar przyjechał, mówią, żeby studjować góralski folklor? I myślą: będzie podsłuchiwał melodje, liczył guziki, będzie notował ile razy góral przytupnie, a gdzie podskoczy, albo jaki ma deseń na portkach, a nikt nie rozumie, że przecież nie to jest ważne, iż gama góralska różni się od innej o zmniejszoną kwartę albo zwiększoną septymę, ale jej ton i nurt zasadniczy tego świata, którego znakiem jest i ta gama i rytm i portki! Jeżeli w „Harnasiach" znajdują się autentyki, to i te zawsze jeszcze uproszczone, zawsze jeszcze synteza tylko w stosunku do oryginału. Ach, nie chodzi o żadną dosłowność, ale o wizję, o ramy, o szerokie, dowolne tło, w które buduje się potem mimo wszystko własną treść, myśl swoją, swoje widzenie tamtego.

— Bo twoja sztuka jest przecież w tej chwili bardziej polska niż ten góralski folklor. Czy nie na tem polegała odrębność Chopina — nie romantyk przecież, a epoka sama dla siebie, dopiero w tem wielka, dopiero w tem artystyczna. Muzyka czem jest w twojem życiu?

— Nie, niepodobna o tem mówić...

— Więc mówmy o czem innem. Ale mówmy o tobie, Karolu.

— Ja, ja jestem daleki, inny. Wyrzucali mi to ludzie, piętnowali. Nigdy nie dbałem. Niema reguł. Człowiek zaczyna się tam, gdzie się kończy zoologja. Nienormalność albo nadnormalw tych sprawach. Olbrzymiem osiągnięciem człowieka jest przezwyciężyć instynkt rozrodczy. Przezwyciężyć, to znaczy przetworzyć. Tę największą siłę, budującą z niczego wszystko — siłę życia. Podziw i zastanowienie budzić we mnie potrafi katolicki postulat czystości i postu, największe bohaterstwo moralne, wyrzeczenie się dobrowolne i bezinteresowne naturalnego zwierzęcego użycia pewnych przyrodzonych sił w imię wyższej ludzkiej — bo to to samo co boskiej — idei. Ale szukam w tem wyrzeczeniu się sensu. Szukam twórczości.

Siedzieliśmy przy stole w jadalni naprzeciwko siebie. Karol z papierosem, podparty łokciami — kłęby dymu zasnuwały jego twarz. Odpędzał je nerwowym gestem ręki. Ściszonym, matowym, zachrypniętym trochę głosem, z ręką na ustach, wydawał mi się stroskany, nie cieszący się już na nic, z głuchą świadomością gaśnięcia w sercu. Miałem przed sobą papier listowy i ołówek. Kiedy mówił, słuchając, rysowałem ołówkiem jakieś zygzaki na białych kartkach, a potem zacząłem pisać słowa. Te słowa odczytuję dzisiaj.

Powiedziałem tonem pytającym, tonem jakbym wybierał temat dalszego ciągu, nie bardzo pewny, czy zechce o tem mówić skoro odmówił przedtem:

— Muzyka.

Poprawiłem się:

— Twoja muzyka...

Żachnął się niecierpliwie. Zapalił się. Zawsze się tak samo zapalał, kiedy mówił o sprawach nieprzyjemnych, nużących, nudnych. Był to zapał buntu przeciwko nim, ale można było dzisiaj podstawić zamiast określenia „zapał" — „zdenerwowanie".

— Nie cierpię muzyki! Kiedy miałem lat trzynaście, była dla mnie jak narkotyk. Widziałem w niej sublimację najwyższych zagadnień, najważniejszych zagadek życia. Ale potem mój stosunek do muzyki stawał się coraz chłodniejszy. Zostało ostatecznie tylko bardzo mało rzeczy, których mógłbym słuchać. Prawie cały Chopin. Ale Beethoven naprzykład zupełnie nic.

Opowiada jak anegdotę wypadek, który mu się zdarzył w Paryżu. Zaproszono go żeby posłuchać Toscaniniego. W pierwszej części koncertu między innymi Debussy, uwertura do opery Rossiniego — wspaniale. Toscanini jak nikt, orkiestra świetna. W drugiej części miała być „Dziewiąta symfonja". Uświadomił to sobie dopiero w przerwie i odczuł nagle, że niepodobieństwem jest dla niego wysłuchać tego raz jeszcze. Całą godzinę siedzieć. Co za straszliwa nuda. Udał chorego i wyszedł.

— Można się zachwycać i unosić zdaniem Schopenhauera o absolucie muzycznym, ale ważny i wartościowy jest dla mnie tylko wyrozumowany, myślowy, myślący stosunek do świata. Tak, tak, mój kochany, je suis un homme raté, pisarz właściwie, nie muzyk, pisarz...

Zatrzymałem go w tem określeniu. Wiem przecież, jak pięknie pisał. Wiem także: napisał powieść.

— Co o niej myślisz dzisiaj, Karolu?

— Jest gdzieś na dnie szuflady, czy kufra. Pewnie jest to tam coś warte, ale wart napewno jest tylko jeden rozdział, jeden dialog, dialog o miłości. Zdaje się że powiedziałem tam wiele, być może wszystko co miałem do powiedzenia w najważniejszej, najpiękniejszej dla mnie sprawie...

Ciągnie dalej tok swoich rozważań.

— Właściwie, jednak, z powołania, że się tak wyrażę, jestem człowiekiem nauki. Dokonać tego samego, czegom dopiął w muzyce, w dziedzinie fizyki albo chemji, oto byłby ideał i szczęście. Pogłębienie świadomości i wiedzy swojej, a potem świata. Bo przecież najwyższym celem człowieka na ziemi jest aby w ciągu swego tutaj życia najgłębiej potrafił odbić w sobie świat.

Zatrzymał się, dogasił zgniecionego już, zmiętego papierosa.

— Czy muzyka nigdy nie dała ci poczucia szczęścia, wielkości, siły?

— Komponowanie jest dla mnie funkcją o podkładzie fizjologicznym, zmysłowym, płciowym prawie, zaspokajaniem się, potrzebą. Przyjemności natomiast doświadczałem często w precyzyjnej robocie technicznej: pisaniu partytur. Niezawodność upaja, tak jak doskonałość, jak każda nieomylność swojej umiejętności, jak wykonywanie wzorowej roboty. Czysto piszę, bez pomyłek, przekreślań. To już prawie matematyka. Zawsze odczuwałem rozkosz przy rozwiązywaniu trudnych zadań.

— A twoja własna muzyka dla ciebie samego?...

Podchwycił pośpiesznie, jakby w obawie, czy nie powiem za wiele, czy nie użyję jakichś niezgrabnych, za wielkich słów?

— To bardzo trudne zadanie. Wzrusza mnie bardzo rzadko. Całkiem wyjątkowo. Nie pamiętałem o tem, nie słuchałem — ale potem kiedyś własny, pierwszy koncert skrzypcowy wziął mnie. To jest z pewnością najlepsze co napisałem. Już tego tonu w sobie nie odnajdę. Tam był i był najpiękniejszy. Wzrusza mnie, jeżeli chcesz, świadomość właśnie, że był. Tak, to naprawdę dobra muzyka. I w „Królu Rogerze" są fragmenty...

Opowiada mi jego treść i mówi potem z uśmiechem, w którym jest trochę współczucia i trochę politowania: ludzie tego nie rozumieją. Dobra rzecz jest zawsze niepopularna. Trzebaby pisać na przeciętne gusta niekulturalnej publiczności. I mówi gorzkie słowa pod adresem Polski i Warszawy. Gorzkie, ale nie złe.

Ten łagodny i dobry człowiek jakże rzadko pozwalał sobie na słowa skargi. Gorszył się tylko ludzką małością, brakiem kultury ludzkiej i artystycznej w Polsce, jakiej dowodów nie szczędzono mu systematycznie. Był przecież jednym z tych co to we własnym kraju doświadczyli najcięższych losów, jakich doznać mógł świadomy swej siły artysta — nieuznawany, albo nieznany, obgadywany przez wszystkich, którzy nie należeli do kręgu jego najbliższych przyjaciół, zaniedbywany jako artysta, sądzony surowo jako człowiek. Czy nie straszna jest myśl, że dopiero śmierci jego potrzeba, aby chciano zrozumieć i uznać kim był? Nie, nie myślę o tem, chciałbym zapomnieć i usiąść znowu przy dużym stole w jadalni w „Atmie", gdy nakrywają właśnie do kolacji, i słuchać, tak jak wówczas, jego słów i kosztować uroku jego obecności, zawsze jednakowo drogiej.

Ale tymczasem i kolację podają i zaraz potem krzątanie przed samym wyjazdem, walizy upakowane, już i sanki zadźwięczały w mroku przed domem. Już pora. Wyjeżdżamy razem, Karolu. Widzę Cię jeszcze w progu „Atmy" w palcie, jak wychodzisz kulejąc po swojemu. A teraz siadłeś przy mnie, siedzisz skulony: jak zimno, jak przejmująco dmie wiatr — jest noc, jedziemy sankami przez Zakopane na dworzec. Niepogoda nad nami, konik rozchlapuje błoto, śnieg potopniał w ulicach, sanki zarzuciło na zakręcie, zgrzytają na kamieniach, schwyciłeś mnie za rękę, jedziemy przez wiejskie, mroczne osiedle, czasem muśnie nas błysk latarni, i znów ciemno. Siedzisz milczący, smutny, pełen złych przeczuć, oparty ciężko o poręcz. Potem pociąg sapiący i ośnieżony. Potem, później szybkie miganie scen, jak w złym filmie. Widzę Cię w sztucznem, rażącem świetle elektrycznem, w jakichś restauracjach, między ludźmi, jeszcze bardziej zmęczonego — twarz zdaje się woskowa za mgłą nie wiem dymów, czy kadzideł... Coraz rozszerza się przestrzeń, rośnie odległością, nabrzmiewa jakiemś nieszczęściem, nieodwołalnem jak doznana krzywda. Czerń i głębia zasłania mi Ciebie ogromną nocą. Już zawlokła zarys Twojej twarzy, jeszcze oczy pamiętam i widzę, jeszcze głos Twój dobiega dalszy, cichszy, smutniejszy — jak cień. Dokąd odchodzisz, w jaki mrok się pogrążasz, gdzie Cię szukać kiedy wrócę, Karolu?

Tokjo, w październiku 1937.

Aleksander Janta-Połczyński.

RAFAŁ MALCZEWSKI

LIST Z GÓR

W każdej porze roku, — w ciepłe południa, w noce huczące wichrem i kurniawą, w blade świty, gdy księżyc ucieka ze srebrnego nieba wspartego na kamiennych słupach Tatr, — budzą się w nas wspomnienia o Karolu Szymanowskim, długoletnim mieszkańcu Zakopanego. Przez wiele lat przybywał do nas na Podhale jako gość. Poznawał się z tą ziemią groźną, miotaną kosmicznemi siłami przyrody, nabrzmiałą żądzą życia i rozrostu w upalnych dniach krótkiego lata, katowaną biczem halnego, stężałą jak trup w pazurach zimy. Poznawał jej surowy wdzięk, wybuchy namiętności, rozdzierające krzyki smaganej wichrem, rozdygotanej w parnych nocach pod niebem napełnionem tętentem przelatujących chmur. Równocześnie rosła w nim znajomość góralskiego ludu i jego sztuki wyrosłej w tym zakątku świata. Zwolna zamieniał się ten obszar pagórów opasanych skalistym murem w ojczystą ziemię, w najbliższą mu połać ojczyzny, źródło natchnienia.

Wszystko to odbywało się nie jakąś naukową manierą, w jakiś systematyczny sposób. Świat ten zarzucał na Szymanowskiego sieci podczas niespodziewanych zetknięć, gdy odarty z naskórka cywilizacji, dziki i potężny, rozpłomieniał się burzą instynktów. Jakieś jazdy w dalekie osiedla, do domostw przylepionych do urwistych zboczy omiatanych gąszczem jesionów, świętych drzew, opiekunów ludzkich zabudowań, na jakieś wesela i chrzciny, gdy rychło po odprawionych obrządkach, owianych aromatem pogaństwa, zaczynała lać się wódka i całe obejście tarzało się, zataczało, przy dźwiękach zawodzenia „złóbcaków" i dudnienia basów, w jazgocie dziewczęcych pisków, w przyśpiewkach tancerzy wyrykiwanych zduszonem gardłem, w uniesieniu, w najwyższej pasji, w furjach żądzy, w nadmiarze sił.

Ginęły światy kultury, subtelnych finezyj, zrywał się człowiek pierwotny, kolebała się ziemia w atramentowej nocy pod czarną blachą gór, pod niskim pułapem chaty paliły się spocone ciała, błyskały skrwawione oczy, ręce szukały czyichś ramion lub noża, pijany jak bela Bartuś Obrochta zawodził na skrzypkach starodawne melodje, w oparach dymu przygasały naftowe lampki. Dudniały zatrzaskiwane dźwierze, ktoś rwał w rośną noc, aby otrzeźwieć lub zwalić się w haszcze.

W izbie furkotały spódnice, przytupywały nogi w białych portkach, szedł „drobny". Zwyrtano dziewczyny — razporaz z nieposkromionym chybotem bioder darł się przed muzyką tancerz naciskając kłobuk na spocony łeb — z podłogi wstawał tuman kurzu — upał i smród dławił gardła — kieliszki szły z garści do garści. Gdzieś w pobliżu rzępolącej piątki siedział Karol uśmiechnięty, zasłuchany, zapatrzony. Opodal pętał się czarny jak Cygan Wawrytko, świecił białemi zębami, puszył się tygrysią siłą, nieujarzmioną młodością. I tak płynęła noc. Gwiazdy bladły na wysokiem niebie, poszarzałe trawska leżały ugniecione rosą, śniegi na Czerwonych Wierchach różowiały, a chata dudniała i wybuchała płomieniem wrzasku.

*

Mijały lata, Szymanowski po przebytej ciężkiej chorobie osiadł na stałe w Zakopanem. Coprawda, nieraz opuszczał nas na szereg miesięcy, lecz wracał do siebie, do swojego domu, który sobie tu stworzył w skromnym góralskim drewniaku. Już brakowało mu sił, aby uczestniczyć w wielu wyprawach do wsi na wesela, chrzciny, prządki i t. d. Ubywało młodości, rosły strapienia, niedościgłem marzeniem stawał się dłuższy okres wypoczynku. Poznał wówczas inne uroki tej ziemi, którą uczynił ostatnią przystanią. Wtedy, po przybyciu do Zakopanego powiedział mi że napisałby muzykę do filmu, któryby obrazował życie Podhala. Nie to od święta i od cyfrowanych portek, ale to które rozgrywa się w pracy i znoju, w walkach z leśnemi ostępami, z rolą kamienistą, to życie od gnoju i birki, dzikich pijaństw w karczmach, drapieżnych żądz, krwawych mordów. Lecz któż podjąłby się takiego przedsięwzięcia? Wszystkim polskim magikom od filmu tkwił w głowie Janosik, historyczna szmira w teatralnym sosie.

— Dwa lata potrzebowałbym na napisanie takiej muzyki — mówił Karol; tym terminem odstraszyłby najodważniejszych.

Bywało że rankiem wpadało się do „Atmy" na Kasprusiach. Mały wywiad ze służącym Felkiem; czy pan pracuje? — Nie. To świetnie. Na kanapce wewnątrz werandy oplecionej winem siedział Karol i przeglądał ranną pocztę. Wiedzieliśmy, że zawsze na coś oczekuje lub że czegoś wymagają od niego dalecy ludzie ze świata i że to mu zatruwa życie i odbiera spokój.

Znowu trzeba było wyjeżdżać w obce strony — albo dla celów reprezentacyjnych lub poprostu zarobkowych. Zmęczony i schorowany, marzył o wielomiesięcznym spoczynku, po którym mógłby tworzyć w ciszy, nie męczony wyjazdami, troską o pieniądze dla rodziny i siebie. Lecz nawet tygodnie nie chciały być spokojne. Rzadko następował okres ulgi, możność odrzucenia od siebie gromadzących się wciąż kłopotów. Czasem przyjeżdżali serdeczni przyjaciele zza oceanów, jak naprzykład Paweł Kochański. Wtedy następował czas radości, czas tworzenia, marzeń i projektów. Salonik w „Atmie" wypełniał się szczelnie, gdy wspaniały skrzypek grał po raz pierwszy drugi koncert skrzypcowy Karola. Lecz znowu nadchodziły złe dni, wiadomość o śmierci Kochańskiego w Ameryce trafiła Szymanowskiego w samo serce.

Pamiętamy ostatnie miesiące Karola w Zakopanem. Straszną jesień gdy nękany gorączką leżał w łóżku samotny w pustym domku na Kasprusiach, niepewny życia, przyszłości, w groźnym świecie halnych wichrów i siekących deszczów. Pamiętamy gdy odjeżdżał w ponury dzień, aby przez Warszawę udać się na szereg koncertów do Belgji. Z trudem zwlókł się z łóżka i odjeżdżał, aby już nigdy nie powrócić do nas.

Przestała istnieć czarowna przystań Szymanowskiego, skromny domek opodal strumienia, siedziba wielkiego artysty, przepojona jego pańską świetnością, nieopisanym wdziękiem, oddechem najwyższej twórczości.

*

Nie każdemu jest dane poznać człowieka z jego sztuki. Można być zupełnie niewrażliwym na muzykę. Tępym kołkiem. Tak właśnie jest ze mną. Lecz wielkość Karola uczyłem się poznawać w innych objawach życia. Właśnie na ziemi podhalańskiej w zetknięciach ludzi kultury z pierwotną żywiołowością człowieka, spadała z Karola maska najsubtelniejszej słodkiej wytworności. Budził się demon, wspaniały, płomienny duch, spalający się w burzach namiętności, w świecie tętniącym czerwoną krwią, wstawał człowiek chłonący najistotniejszy smak istnienia.

Rafał Malczewski.

JÓZEF WITTLIN

Karol Szymanowski i jego śmierć

Śmierć nie patrzy na kalendarz. Nie zna różnicy między dniem powszednim a świątecznym. W samo święto Zmartwychwstania zabrała Karola Szymanowskiego.

W te dni krążyliśmy w Zakopanem dokoła góralskiego domu na Kasprusiach, zwanego willą „Atma". Nieduża czarna chorągiew powiewała z „Atmy", poprostu, bez patosu — jak gdyby swą domową żałobę chciała narzucić samym Tatrom i budzącej się wiośnie. Cisza była w przyrodzie. W tej ciszy wydawało się, że ze skromnych zabudowań gazdowskich, z „Atmy" i przyległej do niej szopy czy wozowni ulatniają się resztki owej niewidzialnej substancji, która ta zagroda dzięki Szymanowskiemu napełniona była przez szereg lat. Jakiś wywar czarnoksięski, wywar z mocnych górskich dźwięków, napełniał swym nieuchwytnym aromatem rudą ziemię, uwolnioną od śniegu, i czuło się obecność duszy artysty, który tu stworzył „Harnasiów", a w owej chwili leżał już trupem o tysiąc kilometrów stąd w deskach z szwajcarskich drzew. Duch tego artysty zdawał się błądzić jeszcze pod reglami, wydzieliwszy z siebie ową tajemniczą substancję, która nie jest ani ciałem stałem, ani płynem, ani lotnym gazem, lecz, jak przekonywał nieszczęsny Spandrell z huxleyowskiego „Point Counter Point" — ostatecznym dowodem istnienia Boga. Ta dźwięczna substancja przedostała się już do nas, do naszych wnętrz, gdzie odtąd działać będzie niezależnie od partytur i koncertów. Oto najpiękniejsza forma przetrwania. Do puścizny muzyka bowiem nie trzeba podchodzić jak do obrazu, ani zaglądać jak do książki: żyje w nas melodjami, barwą dźwięków, przychodzi do nas sama, nieproszona, niewołana. W jakich to miejscach na świecie, w jakich okolicznościach życia zadźwięczysz mi w uszach, pojawisz się nagle na mych wargach i niby kolorowy ptak, o wielki Karolu, sfruniesz na mnie muzyką, która jest samą wolnością w tym świecie spętania, w tym świecie kamieni u nóg?

*

Tu, na tej ziemi mogił i krzyżów (w ostatnich czasach — zasługi) śmierć artysty bywa nie tylko klęską i zubożeniem, lecz jego awansem, rangą u potomności. Wiele refleksyj na temat pewnych cech naszego usposobienia obudziła nieproporcjonalność przepychu uroczystości żałobnych ku czci Szymanowskiego do roli, jaką ten wielki artysta odgrywał u nas za życia. Jesteśmy narodem jak gdyby wyspecjalizowanym w **żegnaniu.** W witaniu wielkich talentów, w dodawaniu im otuchy — nie mamy wprawy. Umiemy urządzać wspaniałe pogrzeby, niech mi wolno będzie podejrzewać nas o delektację temi pogrzebami. Wartoby się zastanowić nad sensem hołdów pośmiertnych i żałobnych obchodów. Komuż, jeśli nie samym sobie, odprawiamy słynne ze wspaniałości panichidy? Jest w tem coś ze zbiorowej nekrofilji. Bo wielki nieboszczyk, według pojęć przyjętych w świecie chrześcijańskim, nie widzi, nie słyszy tego wszystkiego czem go raczymy. Specjalnością naszą jest niedocenianie życia artysty a przecenianie jego śmierci. Sobie, sobie przedewszystkiem fundujemy to wonne kadzidło, spalane przeważnie w słowie drukowanem — ku czci zmarłego artysty. Możnaby zaryzykować paradoks, iż wyżywamy się w śmierciach. W tym biednym kraju, gdzie tylu ludzi żyje bez chleba i soli do chleba, tłum uliczny woła: „Panem et obsequia!". Nic dziwnego przeto, że t. zw. rytm życia często nagina się u nas do rytmu śmierci. Wiele ulic w naszej stolicy robi wrażenie alej cmentarnych. Posłuchajmy przez radjo przemówień, odczytów lub nawet komunikatów, a zmrozi nas ponury ton pogrzebowych oracyj.

Niewątpliwie pokutują w nas pewne zastarzałe uprzedzenia czy też przesądy, zwłaszcza w odniesieniu do muzyki. Ogół (a wiemy, że ogół nie jest muzykalny) żyje w mniemaniu, iż poważna muzyka pochodzi wyłącznie od umarłych. Życiu, współczesności odmawia ogół wszelkiej magii. Kto wie, czy właśnie ten moment nie odegrał roli w nagłym wybuchu adoracji niezyjącego Szymanowskiego u tych, którym jego muzyka była zawsze obca. Oczywiście fakt, iż była obca, przemawia tylko na jej korzyść. Szeroki ogół tak się przyzwyczaił do patetycznych figur i gipsowych statuetek dawnych wielkich kompozytorów, iż nie potrafi sobie wyobrazić „czarodzieja tonów" z krwi i kości w postaci eleganckiego pana z wąsikami. W programach koncertów symfonicznych i kameralnych, w recitalach solistów przeważają dzieła wielkich umarłych. Tak przecie wygląda w praktyce nieśmiertelność. Niema dnia ani wieczoru, żeby co najmniej w stu miejscach niemuzykalnej Polski nie grano równocześnie utworów Chopina. Skoro ogół wie o tem, że Chopin nie żyje, więc wyobraża sobie, iż kompozytorowie wogóle nie żyją. Sceptycyzm wobec żyjących twórców istniał zawsze. Zawsze ludzkość nie ufała tym swoim dobroczyńcom, których miała sposobność oglądać w ich doczesnej, ułomnej postaci.

Szczególnie pospólstwo miejskie kocha się w nieboszczykach, bez względu na to, kim oni byli za życia. Pełniąc wraz z trzema innymi panami straż honorową przy trumnie Szymanowskiego w konserwatorjum, miałem sposobność obserwowania objawów warszawskiej nekrofilji. Tłumy kumoszek, dozorczyń, bab, wykarmionych muzycznie różnemi hopsztyndrami, defilowały często z niemowletami na ręku przed umarłym twórcą „Metop", „Pieśni Hafisa" i IV symfonji. Jakież rozczarowanie malowało się na twarzach tych babin, gdy przekonały się, że trumna jest zamknięta, a zamiast nieboszczyka we fraku, muszą oglądać żywego Marjusza Maszyńskiego, J. N. Millera, mnie i jeszcze jakiegoś pana z konserwatorjum. To pierwsze i zapewne jedyne zetknięcie się warszawskich nekrofilów z twórcą „Harnasiów" było niezwykle żenujące, jeśli nie koszmarne. Nigdy babiny nie dowiedziałyby się o istnieniu Szymanowskiego, gdyby nie to że w sensie biologicznym przestał istnieć. Ale nie tylko o babiny chodzi. Wielki, sublimowany artysta, tego typu co Szymanowski, Debussy, Mallarmé, w każdem społeczeństwie jest „ciałem obcem", ciałem astralnem, ciałem niebieskiem. I nie trzeba się dziwić, że nie może znaleźć sobie miejsca na ziemi, skoro takiego miejsca, gdzieby czuł się u „siebie", wcale niema. Losem artystów tego typu nie są żadne kariery życiowe, ani sytuacje społeczne. Ich los mieści się w innych wymiarach. Ładnie to określił Andrzej Towiański („O znaczeniu sztuk pięknych, szczególnie muzyki, dla zbawienia człowieka"): „Prawdziwy artysta jest gwałtownikiem porywającym skarby z królestwa niebieskiego, które gwałt cierpi". Tak jest — w tem znaczeniu cichy, wytworny, łagodny Karol Szymanowski był gwałtownikiem.

A ci, którym życie jego było równie drogie jak jego twórczość, zawsze z najgłębszym żalem wspominać będą jego przedwczesną śmierć. Tę śmierć, co wielu Polakom powiedziała, że był, i — poczęści również — kim był.

Józef Wittlin.

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

LISTY KAROLA SZYMANOWSKIEGO

Karol Szymanowski lubił opowiadać o pewnem spotkaniu, kiedy to pijąc wódkę przy bufecie restauracji „Astorja“ — w heroicznych czasach tej instytucji — przyłapał urzędującego w bufecie piccola jak cichaczem czytał Conrada. Tym młodzieńcem był Zbigniew Uniłowski. W planie końcowych rozdziałów „20 lat życia“ Szymanowski występuje jako „malarz“: Deus ex machina. W gruncie rzeczy to Szymanowski wyrwał Uniłowskiego ze smutnego życia, w jakiem tkwił po uszy, i skierował go na drogę literatury.

W planie dalszych dziejów Kamila Kuranta znajdujemy takie zdania: „wizyty u malarza — jego chęć wyrwania Kamila z upadku... malarz wysyła do młyna — wrażenia wiejskie i jakby odrodzenie... katastrofalny powrót do Warszawy“.

Piszący te słowa był świadkiem zarówno owej wysyłki do młyna młodocianego delikwenta — do młyna, gdzie Szymanowski umieścił Uniłowskiego pod opieką swojego kuzyna — jak również i momentu „katastrofalnego powrotu“. Jak dziś widzę Zbyszka skromnie stojącego przed biurkiem kompozytora: „przybrał“ on wówczas, jak Kamil przed panem Sołtyńskim „wyraz smutnej nieporadności, sieroctwa“. A potem słyszę słowa Karola: „Wiesz, sam nie wiem co robić z tym Zbyszkiem... Uciekł z młyna“. I po chwili: „Wiesz, koteczku, ja mu się nie dziwię, to piekielna nuda taki młyn“.

Z tego spotkania wyrosła przyjaźń: ciągnęła się ona do zgonu obu artystów, który niespodziewanie przypadł w tym samym roku, choć dzieliło ich tyle lat. W Zakopanem Uniłowski nieraz mieszkał u Szymanowskiego w „Atmie“, a jeżeli mieszkał gdzieindziej, był jego codziennym gościem. W lutym 1931 r., kiedy Szymanowski komponował „Pieśni kurpiowskie“, mieszkałem także w „Atmie“, kończąc tom „Panien z Wilka“. Zbyszek przychodził codziennie. Powstawały wtedy pierwsze rozdziały „Wspólnego pokoju“, i Uniłowski systematycznie zdawał Szymanowskiemu relację ze swojej pracy. Karol niepokoił się trochę, ale potem się uspakajał: wierzył w talent Uniłowskiego. Nigdy nie zapomnę jak po ukazaniu się książki cieszył się z samorodnego, świeżego talentu Zbyszka.

Z przyjaźni tej zrodziła się obfita korespondencja. Oto jej fragmenty, sporządzone przez Zbyszka, który na prośbę redakcji „Wiadomości Literackich“ przygotowywał artykuł o Szymanowskim. Zdążył napisać tylko kilkadziesiąt wierszy, stanowiących komentarz do pierwszego listu; dajemy je w odnośniku.

Jarosław Iwaszkiewicz.

„Warszawa 28/V — 1928. Mój drogi Zbyszku. Nie odpowiadałam tak długo nie z braku dobrej woli, ale dlatego, że w ostatnich dniach czułem się nerwowo tak źle, że nie mogłem zdobyć się na żaden czyn, przeważnie leżałem w łóżku, o ile to było możliwe. Miałem znów masę nieprzyjemności w związku z mojem stanowiskiem. Za co mnie ci ludzie tak nienawidzą i męczą, za to chyba że chcę... **najlepszego,** a to widocznie u nas nie popłaca. Ale mniejsza z tem“ *).

„Davos 7/IX — 1929. Zbyszku kochany. Otrzymałem Twoje dwa listy (od jedynego Ciebie!). Bardzo Ci za nie serdecznie dziękuję. Leży od kilku dni zaczęta duża odpowiedź do Ciebie, ale nie mogę skończyć. W każdym razie obiecuję Ci niebawem długi list. Cały dzień jestem w łóżku, więc mi trudno pisać, dopiero wieczorem, ale ciągle mam jakieś konieczne do odpowiedzi listy. Ściskam Cię, Karol“.

*) Istotnie, miał w tym okresie wielu nieprzyjaciół, głównie miernych muzyków, którym dolegała myśl, że Szymanowski uzyska realną władzę na terenie konserwatorjum. Sądzę, że sprawa nie warta była szeregu udręk i walki, która odbywała się kosztem jego osobistych przeżyć. Ale cały ten ciężki stan psychiczny sprawiał wróg główny i nieznany jeszcze, rozwijająca się gruźlica płuc, której działanie przypisywał Szymanowski chorobie serca i nerwom. Kilkakrotnie jeździł do sanatorium w Edlach pod Wiedeń, gdzie leczono jego nerwy, nie starając się odnaleźć istotnej przyczyny podłego samopoczucia. Dopiero jego troskliwa i przewidująca pielęgniarka potajemnie wywiozła go do Wiednia, gdzie stwierdzono gruźlicę płuc i zalecono natychmiastowy wyjazd do Davos. Kiedy sobie przypominam postać Szymanowskiego z okresu jego rektorstwa w utworzonej własną wolą i przy poparciu ówczesnego ministra oświecenia Czerwińskiego akademji muzycznej, widzę szlachetną i piękną twarz obleczoną wyrazem smutku i lęku naprzemian, słyszę słowa wzniosłej pogardy i bólu dla tych, którzy wszelkiemi sposobami starali się mu zaszkodzić. Mieszkał na Nowym Świecie 47, na czwartem piętrze bez windy, i pamiętam jak często wspinał się mozolnie, utykając na lewą nogę, dogóry, w atakach kaszlu, ocierając pot z czoła, zdyszany, skarżąc się na jakąś plugawą napaść w gazecie czy nową podłość któregoś ze swych „kolegów“. I dlatego teraz stwierdzić muszę na podstawie wspomnień z tego okresu, że wyzyskanie jego wspaniałej indywidualności dla tej uczelni było niewspółmierne z tem wszystkiem co Szymanowski utracił jako artysta. Ciężki rozstrój psychiczny zahamował na dość długo jego twórczość, zachmurzył ją małością tej walki z czeredą karłów i kalkulantów muzycznych.

„Davos. Sanat. Guardaval. 29/X — 1929. Mój drogi Zbyszku. To nie jest jeszcze ten obiecany **wielki** list. Nie mogę się narazie zdobyć ani moralnie ani fizycznie... Wprost nie mam kiedy pisać, bo w łóżku, gdzie cały dzień leżę, **nie mogę fizycznie.** Czasem wyrwę się na parę godzin do stołu i wtedy spycham co najważniejsze (a więc Matka i rodzina, jakieś interesy). Co do mnie, to istotnie byłem **b. ciężko chory** i teraz jestem daleki od zdrowia, ale stale wyczuwa się pewne polepszenie, tak że nie tracę nadziei, że się jakoś z tego wyłabudam. Ten wybuch procesu w lewem płucu był tak gwałtowny i niespodziany, że w Wiedniu jeszcze w końcu sierpnia lekarze mieli bardzo zatroskane miny. Teraz to, trzeba mieć nadzieję, **zupełnie opanowane,** i zaczęło się gojenie. Zresztą wiele o sobie nie wiem, bo ci lekarze tutejsi nie bardzo o tem lubią mówić i tłumaczyć o co chodzi. Natomiast moralnie jest dziś paskudnie. Takiej piekielnej tęsknoty do Polski i do moich w niej bliskich ludzi (rodziny i przyjaciół) nigdy nie odczuwałem. Pragnienie wyjazdu stąd, to prawie bzik. Masę czytałem — teraz prawie nie mogę — jakieś wewnętrzne zmęczenie sprawia, że nie interesuje mnie czytana rzecz. Ale dość o tem... Wychodzi jednak jakiś długi list... Zmartwiło mnie co piszesz o tem **czekaniu** listów ode mnie. Czy przypominasz sobie mój wyjazd? Czy nie był on czemś okropnie smutnem, oczywiście dla ludzi, którzy mnie choć trochę kochają! Czyż można było wobec tego liczyć się z listami ode mnie! Każdemu było wiadomo, że wyjeżdżam **niezmiernie ciężko chory...** Nie masz pojęcia, jaki w tem jest okropny smutek. Dawniej byłem tak przejęty poczuciem choroby, tej okropnej, fizycznej „zgnilizny“ — że cała **uczuciowość** zdawała mi się jakaś martwa, zbędna wobec tego ohydnego **fizycznego** faktu. Dziś, kiedy zaczynam czuć, że tę zgniliznę może jednak opanować, budzi się tęsknota do wszystkiego do czego czepiało się moje serce, a pod tym względem nie było „oszczędności“ namnożonych. Rozumiesz więc smutek uderzania w jakąś strunę mego dawnego życia, gdzie już

Karol Szymanowski i Zbigniew Uniłowski w „Atmie“

czuję pustkę, obojętność, brak odpowiedzi. Ale dość o tem. Nie wiem czy wiesz, że górale na całej kuli ziemskiej są do siebie podobni. Nasi mają najwięcej wdzięku i inteligencji. Ale dziś jest sobota, dość późno w noc, i wszyscy są naturalnie pijani (tutejsi górale) i tak krzyczą, wrzeszczą i śpiewają akurat jak nasi. W każdą taką sobotę przeżywam najokropniejszy atak tęsknoty spowodowany przez dzikie wrzaski i krzyki. Czyż można mówić o kulturalnych „kompozytorach“ wobec takich zwierzeń?!“.

„Davos 10/II — 1930... Ostatnie miesiące (od połowy grudnia) były dla mnie najcięższe ze wszystkich; o szczegółach Ci opowiem, bo za długo pisać — choć te przeżycia są b. ważne dla mego dalszego życia! Właściwie z płucami mam się ciągle lepiej! Ale nerwy to strzępy, i wprost ze strachem myślę o 3½ miesiącach, które tu mam spędzić. Narazie chcę Ci tylko fakty pisać a resztę pozostawiam na ustne rozmowy, więc np. dlaczego mi tu tak ciężko pomimo idealnych warunków. Była u mnie przez cały styczeń moja siostra (Zioka). Ona wprost idealnie dobra, właściwie dopiero przez ten miesiąc dogłębi ją poznałem, ale oczywiście pozostawiła po sobie tę atmosferę roztkliwienia i czułości, bez której mi teraz jeszcze ciężej. Teraz jest ze mną Artur kochany (dostał miesięczny urlop w konserwatorjum). Nie masz pojęcia jaki on zacny, kochany, prawdziwy przyjaciel i opiekun — ale też musi wyjeżdżać. Później oczekuję mojej siostry (śpiewaczki) na parę tygodni — później już jakoś sam dotrwam kresu tej męczarni. Teraz uważnie czytaj, bo to są już interesy, w których proszę Cię (o ile możesz) o odegranie pewnej roli. Mianowicie: wrócę zapewne do Warszawy w początkach czerwca (dowiesz się u mojej siostry na N. S. 47, bo ja nie tam zajadę ze względu na schody) o ile oczywiście będziesz w Warszawie w tym czasie. Chciałbym Cię po powrocie ujrzeć najprędzej. Chodzi o to, 1) że ja chcę spędzić lato w Zakopanem, 2) że czuję taką nienawiść do Davos, że pomimo świetnej opieki lekarskiej, wielkiej przyjaźni otoczenia w sanatorjum tutaj, zdaje się, że w jesieni nie będę się umiał zmusić do powrotu do Davos, i marzę o pozostaniu nadal w Zakopanem, to znaczy na cały rok. Nie masz pojęcia do jakiego stopnia Davos mnie denerwuje; przecież bywały dni, kiedy ja całe dni przepłakiwałem jak dziecko bez żadnego powodu. Czy widzisz mnie w tak głupiej sytuacji? Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że w sierpniu, jak tu przyjechałem, to miałem nie płuca a jakieś strzępy, które w innych warunkach mogłyby wystarczyć na jakieś 2 — 3 miesiące życia, a dziś jestem prawie zdrów pod tym względem. Najgorsze, że tutejsi lekarze uważają, że tylko Davos istnieje na świecie i lubią trzymać latami ludzi prawie zdrowych. Oczywiście, o tyle mają rację, że tu wspaniały klimat i powietrze, no i wypracowane metody, ale przecież i w innem miejscu, to znaczy i w Zakopanem, tysiące ludzi odzyskuje zdrowie, dlaczegóż nie miałbym i ja także? — zwłaszcza że już jest jakoby b. dobrze... **Fakt jest, że drugi rok w Davos i wogóle na obczyźnie może mi grozić jakąś moralną katastrofą...** Otóż ja Cię proszę żebyś kiedyś przy sposobności przedstawił powyższy stan rzeczy dr. S. (tylko u niegobym się leczył oczywiście) i zarazem spytał poprostu o radę, co mam uczynić? bo mam do niego wielkie zaufanie jako do lekarza i człowieka... O sobie Ci już trochę pisałem, to znaczy wszystko względnie dobrze, oprócz kiepskiego nastroju psychicznego — i ciągłej fatalnej nostalgji za krajem i przyjaciółmi. Od Ciebie oczekuję obszernego listu **o wszystkiem** i proszę Cię, nie zwlekaj z odpowiedzią. Czy pracujesz? Ja niestety jeszcze nie! Chociaż w głowie mi się zaczyna coś poruszać i przejaśniać“

„Davos 25/II — 1930. Mój kochany Zbyszku. Dziękuję Ci bardzo za list i zawarte w nim wiadomości. Mam wrażenie, że to Zakopane jest już jakieś bliższe i bardziej realne. Do doktora S. napiszę z podziękowaniem; nie chciałem go narażać **na mus odpowiedzi.** bo on b. zajęty, dlatego Ciebie prosiłem. Jedno mnie tylko martwi, że dr. S. uważa że to moje mieszkanie, w którem on był u mnie swego czasu, jest nieodpowiednie!! A ja właśnie tam chciałem zamieszkać! Zaraz zrozumiesz o co mi chodzi. Do sanatorjów zakopiańskich nie mam żadnego zaufania, zresztą sądzę, że nie będę potrzebował już sanat. (dosyć mam tutaj!!). **Pensjonatów** nie cierpię, ze względu na konieczność obcowania z osobami obcemi (zwłaszcza kobiety nieznośne!). Chciałbym więc — ponieważ to minimalnie na rok — mieć wprost osobne mieszkanie, nawet ewentualnie z kuchnią, t. zn. 2 — 3 pokoje etc. Notabene do tego domu właśnie jestem b. przywiązany, ponieważ przeżyłem w nim jeden z najpiękniejszych **twórczych** okresów mego życia (opowiadałem Ci nieraz o tem). Zdaje mi się, że tam właśnie powróciłbym łatwiej do moralnego zdrowia i sił“...

„Davos 27/IV — 1930. Mój drogi Zbyszku. Szczerze się martwię że do Ciebie tak dawno nie pisałem. Zwłaszcza że Twoje listy wszystkie tak były miłe i taką mi zawsze robiły przyjemność. Ale wkrótce już wrócę (koło 20 maja) i wtedy o wielu sprawach, które poruszasz w listach, ustnie się porozumiemy. Wstrzymywała mnie od pisania do Ciebie nie tylko moja notoryczna nienawiść do korespondencji, której czasem nie mogę wprost przezwyciężyć (zwłaszcza że b. się tu rozleniwiłem, co jest naturalnym wynikiem systemu kuracji) — ale miałem ciągle masę interesownych listów do załatwienia (i to nie tylko w osobistych moich interesach) — czego oczywiście nie mogłem odkładać „ad calendas graecas“. Pozatem ostatnio dość dużo pracowałem (literacko) nad zamierzonym odczytem, pozatem nad przemówieniem o Chopinie na uroczystość w uniwersytecie zdaje się 11 maja — (może się tam jakoś dostaniesz —?). Moja siostra śpiewa tam — może Ci będzie mogła dać jakiś bilet. Ta praca, to jedyna moja właściwie rozrywka tutaj. Żadnych muzycznych rzeczy nie zaczynałem tu, bo nie mam odpowiedniej atmosfery. Już pozostawiam to na Zakopane... Na miłość Boską, staraj się nie pić i nie palić, to żadne moralne nauki, ale rezultat osobistych doświadczeń i przeżyć — nie toga kaznodziejska lecz poprostu dobra przyjacielska rada! Nie powiem żeby taki stan był przyjemny ale b. pożyteczny — o ile ma się coś do spełnienia w życiu. Zresztą o tem także szerzej ustnie“...

„Zakopane 25/X — 1930. Zbyszku kochany. Narazie ulokowałem się w tej „Atmie“ — gdzie jest b. przyjemnie. Pamiętasz? to nie dochodząc do „Czerwonego Dworu“. Co do tego artykułu do „Czerw. Kur.“ to narazie rezygnuję. — Nie chce mi się o tem myśleć! Teraz zajęty jestem moją „rektorską“ mową. Może jak przyjadę do Warszawy, to o tem pogadam. ...Napisz mi trochę obszerniej. Tu cisza i spokój. Wypoczywam, pogoda była boska, od dwóch dni leje i chmurno — ale dobrze się czuję pomimo to“.

„Zakopane 15/I — 1931. Zbyszku kochany. Od przyjazdu jestem niezdrów i nie wychodzę (Chwała Bogu nic ważnego). Był zato u mnie dr. Sok., i mówiłem o Tobie. Radził mi żeby pomyśleć o **„Odrodzeniu“.** Sam ze swojej strony ma pomówić z tamtejszym lekarzem — a mnie prosił udać się osobiście do organizatorki tego (p. Jelskiej). Zrobię to za parę dni, jak będę już mógł wychodzić. Jutro jeszcze zapewne poleżę w łóżku. Zgóry Cię uprzedzam że to b. katolicki i........... zakład — ale b. zacny. — Ażebyś — jeżeli się ta kombinacja uda — odpowiednio się zachowywał. Ja sam mówiąc o Tobie będę musiał bujać i zacierać twą Cyrulikową i Kwadrygową karjerę. Postaraj się zaciągnąć języka, może w Warszawie znajdziesz jakieś poparcie do „Odrodzenia“ (oczywiście nie w sferach „Wiadomości Literackich“ i „Robotnika“!!)“.

„Zakopane 3/XI — 1935. Zbyszku mój kochany. Wybacz mi brak odpowiedzi. Byłem b. chory — i właściwie jestem nietęgi ciągle. Nie mogłem zdecydować ani wyjazdu, ani nic wogóle. Od kilku dni zacząłem potrochu wstawać i sugestjonować się, że już jestem dobrze. Przyczyną tego, że **muszę jechać** i do Warszawy, a następnie do Belgji na kilka koncertów (może i do Paryża). W Warszawie będę **we środę z rana** (u mojej siostry Stasi). Bardzobym chciał jak najprędzej z Tobą się porozumieć — a pamiętaj, że w Warszawie będę tylko 3 — 4 dni. Bardzo, bardzobym pragnął być na waszym ślubie i weselu. Myślę że ty nie masz naprawdę nikogo bardziej bliskiego niż ja. Widzisz jednak, jaki to kłopot z takim starszym panem jak ja, który nie może określić nawet w przybliżeniu daty, w której będzie mógł się stawić **napewno** na takiej uroczystości. Musimy się **porozumieć,** będę przecie wracał przez Warszawę (przypuszczalnie w końcu listopada). Może wtedy? Jakoś to omówimy, w każdym razie nieomieszkaj (piękne słowo!) stelefonować się ze mną. Będę dość skrępowany w ruchach, bo jestem b. osłabiony“.

Zbigniew Uniłowski.

LEONJA GRADSTEINÓWNA

Dobroć niezłomna

Każdy, kto znał Karola Szymanowskiego nawet bardziej zdaleka, musiał zauważyć jego nieskończenie wielką dobroć. Dawał wszystkim wokoło tak hojną ręką siebie, swój czas, swoje zainteresowanie, pomoc, sympatję, że czasami nawet nie zauważał, że to już nie on daje, lecz że inni poprostu rabują, z tej hojności korzystając. O swojej dobroci nigdy nie mówił, kładąc to raczej nakarb swej bezradności i nieśmiałości. Na pełne wyrzutu „panie Karolu, pan jest za dobry“, odpowiadał niezmiennie: „złotko, ja właściwie tak jakoś nie umiem mu powiedzieć“, albo: „tak mi trudno jakoś odmówić“.

Stale wszystkich bronił, toteż mimowoli wypowiadał niemy i bolesny wyrok na tych, których już bronić nie chciał.

Niezwykła sympatja i adoracja (przeradzająca się często w ciągu kilku dni w przywiązanie i prawie miłość), jaką zdobywał zawsze i wszędzie, zarówno tu jak i zagranicą, u ludzi usługujących mu lub stykających się z nim przypadkowo, tłumaczy się chyba tylko wyczuciem tego charme'u dobroci, który od niego promieniował.

Dane mi było spędzić z Szymanowskim kilka ostatnich, poprzedzających jego śmierć, tygodni. Często wtedy ze wzruszeniem zastanawiałam się, jak to się działo: ten człowiek tak bardzo cierpiący a tak bojący się cierpień, człowiek który z dniem każdym prawie musiał rezygnować z jakichś najdrobniejszych nawet przyjemności życia codziennego, jak papieros i szklanka wina, potem nawet pisanie i czytanie książek czy pism, w ostatnich dniach tak obolały i zmaltretowany chorobą, że każdy głośniejszy dźwięk czy ruch w pokoju był dla jego nerwów przeżyciem, że musiał wyzbyć się prawie wszystkich przyzwyczajeń, bo stawały się dla niego męką — jedną rzecz tylko zachował do końca: — uśmiech czarujący i spojrzenie pełne dobroci, w ostatnich dniach już prawie nieziemskiej.

Unieruchomiony w łóżku, mówiący szeptem, nie mógł czasem zdobyć się na słówko „proszę“; na „dziękuję“ zdobywał się zawsze. Po nieprzespanej nocy pamiętał, że trzeba już przed jedenastą dać sprzątnąć pokój, bo o jedenastej służba je obiad; w czasie okropnego bólu zęba pamiętał, „że to dziś niedziela, a dentysta chciał wyjechać z dziećmi na wieś“. Pamiętał, że z kleiku gotowanego własnoręcznie przez właścicielkę hotelu trzeba trochę wylać, „bo ja naprawdę nie mogę jeść, a ona poczciwa będzie miała zmartwienie“.

Pytał się, czy listonosz „od poleconych“ dostaje dwa franki na piwo — „bo ja mu tak dawałem“ i „niech pani pamięta, że on zbiera marki“.

Z pokojową zawsze zamieniał kilka słów podczas sprzątania, zadawał pytania, albo coś sam mówił.

Te rzeczy nie wydadzą się napewno błahe, jeśli pamiętać, w jak strasznym stanie zdrowia był wtedy Szymanowski, że dla niego w tych czasach jedno takie zdanie lub uśmiech były ogromnym wysiłkiem.

Nie chciałabym tu pisać o sobie. **Jednak nie mogę nie wspomnieć, że w tych** ostatnich tygodniach, bardzo dla mnie pod wieloma względami ciężkich, największą opieką i pociechą był on sam. Wszystko widział i zauważał, pilnował

Karol Szymanowski w trumnie

żebym jadła, ostrzegał mne wciąż przed samym sobą: „ach, złotko — pani tak brawuruje, a ja i tak czuję się winny przed biedną mamą, niech pani choć kolońską wodą ręce umyje“; „tak chciałbym otworzyć okno, ale niech pani choć mój płaszcz narzuci“.

Codziennie walczyliśmy o mój spa-

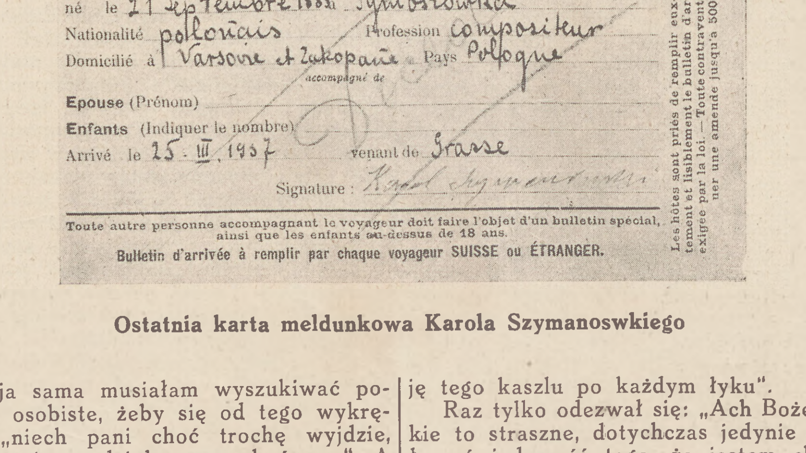

10

~~Hôtel~~ :

Nom de famille Szymanowski

Prénoms Karol

né le 21 septembre 1883 à Tymoszówka

Nationalité polonais Profession compositeur

Domicilié à Varsovie et Zakopane Pays Pologne

accompagné de

Epouse (Prénom)

Enfants (Indiquer le nombre)

Arrivé le 25. III. 1937 venant de Grasse

Signature :

Toute autre personne accompagnant le voyageur doit faire l'objet d'un bulletin spécial, ainsi que les enfants au-dessus de 18 ans.

Bulletin d'arrivée à remplir par chaque voyageur SUISSE ou ÉTRANGER.

Les hôtes sont priés de remplir eux-mêmes correctement et lisiblement le bulletin d'arrivée, formalité exigée par la loi. — Toute contravention peut entraîner une amende jusqu'à 500 francs.

Ostatnia karta meldunkowa Karola Szymanoswkiego

cer, ja sama musiałam wyszukiwać powody osobiste, żeby się od tego wykręcić: „niech pani choć trochę wyjdzie, ja przecież godzinkę mogę być sam“. A to „sam“ było dla niego rzeczą najstraszniejszą. W nocy, gdy czuwałam przy nim, pomimo solennego przyrzeczenia, starał się nie budzić mnie bez poważnego powodu. Biedny nie wiedział, że właśnie przez to przestałam spać prawie zupełnie, żeby przy najmniejszym ruchu **móc powiedzieć, iż wcale nie spałam.**

Nigdy w tych ostatnich tygodniach nie tylko nie słyszałam słowa ale nie zauważyłam gestu zniecierpliwienia: „znów się pani będzie na mnie gniewała, ale ja naprawdę nie mogę jeść, tak mnie piekielnie boli, pani wcale nie wie, jaki to straszny ból“, albo: „przysięgam, że zjem to wieczorem, może jakoś lepiej pójdzie, ale pani to rozumie, prawda?“, albo: „tak mi przykro, że pani się tak ze mną pora, ja naprawdę sambym przecież chciał to wypić, ale tak się boję tego kaszlu po każdym łyku“.

Raz tylko odezwał się: „Ach Boże, jakie to straszne, dotychczas jedynie miałem świadomość tego, że jestem chory, a teraz zaczynają się te okropne cierpienia“.

W przeddzień wyjazdu z Grasse do Lozanny powiedział ze swoim żartobliwym uśmieszkiem: „Ale pani nie da pourboire'ów po kobiecemu? — może na wszelki wypadek zrobimy listę. Pani wie **— sam mam niewiele,** ale oni wszyscy tacy mili, i to nie tak znów przyjemnie teraz koło mnie chodzić“.

Był zbyt słaby, żeby pożegnać się ze służbą, tylko portjerowi przesłał ukłon ręką, gdy ten przyszedł po walizy. Ale zato służba zamanifestowała swoje oddanie bardzo subtelnie. Gdy znoszono go zgóry na noszach, hall był jak wymieciony, nikogo — nawet wiecznie sterczący przy windzie Jean zapadł się pod ziemię. Był to z objawów hołdu dla Szymanowskiego, których wiele widziałam, bodaj najpiękniejszy.

Kiedy po straszliwej podróży, przyjechaliśmy do Lozanny, powiedział do oczekującej nas sanitarjuszki: „Comme c'est beau votre pays — j'aime beaucoup la Suisse“ — a po przybyciu do kliniki, kiedy go zsunięto z noszy na łóżko: „Comme ce lit est comfortable; je crois que je serai très bien ici“. Kiedy w Wielką Sobotę rano, dzień przed śmiercią, pokazałam mu depeszę od siostry, prosił żeby pojechać na dworzec. Tylko znając jego paniczną wprost obawę pozostawania samemu, rozumie się, jakie to było poświęcenie: „Stasiaby się bardzo zdenerwowała, gdyby pani nie zobaczyła, i pomyślałaby, że mi Bóg wie co jest“. A do pielęgniarki: „Donnez moi quelque chose pour mon coeur, ma soeur vient, je serai très ému, ce sera une peine pour elle de me voir si éssoufflé“. I do mnie: „Proszę, niech pani **koniecznie** przygotuje Stasię, że ja tak źle wyglądam, ona gotowa się przerazić“.

W 37 godzin później już nie żył.

A w ciągu dnia: „Koniecznie depeszę do mamy, niech mają przyjemność... — ...i depeszę do pani Izy (Landsbergerowej) takbym chciał jakoś ułożyć, żeby wiedziała, jaki jej jestem za wszystko wdzięczny“. — „Takbym chciał coś kupić dla pielęgniarki“. — „No to może jajko z czekolady, panie Karolu“. — „Ach to świetna myśl; ale damy jej jutro“.

Nazajutrz rano, po tej **najstraszniejszej i ostatniej** nocy, podał pielęgniarce paczkę ze ślicznym nieśmiałym uśmiechem: „C'est pour vous“, a potem: „Ona zdaje się naprawdę ucieszona“.

Jeszcze na pół godziny przed śmiercią, po zrobieniu ostatniego zastrzyku, do naczelnej pielęgniarki: „Merci“ i po chwileczce namysłu przywołał ją ruchem głowy i pocałował w rękę: „Merci pour tout“.

„Merci pour tout“. Nie wiedział napewno, że dziękuje już zgóry: swoim charmem dobroci zdziałał, że nawet naczelna pielęgniarka, dla której przecież śmierć jest rzeczą codzienną, przejęta była dogłębi, pojechała z ciałem do zabalsamowania, sama go ubrała, jeszcze na chwilę przed zamknięciem trumny z czułością poprawiła mu włosy: „Il n'est pas bien coiffé, je veux le recoiffer — il faut qu'il soit beau“.

Dobroć i wdzięk Karola Szymanowskiego sprawiły, że gdy umarł w dalekiej obcej Lozannie, dokąd przyjechał zaledwie na cztery dni przedtem, płakały z nami pielęgniarki, służba, lekarz (ukradkiem, ale jakże wymownie), słowem, ludzie prawie nieznajomi, a jednak tak bliscy przez swój żal i miłość do niego.

Leonja Gradsteinówna.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę za kwartał I 1938 r. (zł. 9.— w kraju, zł. 12.— zagranicą)

KRONIKA TYGODNIOWA

Aldous Huxley w książce „Nad zatoką Meksykańską", mówiąc o nacjonalizmie Ameryki Środkowej, podaje wniklywą analizę uczuć „numenalnych" — specjalnie aktualną w dzisiejszej Europie. „Najprzeciętniejszy — możnaby powiedzieć: naturalny — rytm ludzkiego życia, to rutyna przerywana przez orgję. Rutyna pozwala na ludzką słabość, nie wymaga wysiłku myśli i zdejmuje z ludzi nieznośny ciężar odpowiedzialności". Mówiąc o orgjach Huxley wymienia takie podniety zbiorowe, jak walki byków, egzekucje publiczne, hymny nienawiści, masówki, saturnalja, rozkosze zbiorowej nienawiści politycznej czy rasowej. Rzeczą zajmującą jest obserwowanie wszystkich sposobów podniecania tych uczuć, nazwanych przez prof. Otto uczuciami „numenalnemi". Interesująca jest zwłaszcza metoda uzgadniania podniet zbiorowych z dawnemi kanonami etycznemi. Głosiciele haseł orgjanistycznych nie łatwo się rozstają ze staremi, wypróbowanemi środkami. Najchętniej widzieliby antysemityzm połączony z miłością bliźniego i praworządność połączoną z dowolnem interpretowaniem prawa.

Jak wiadomo, zawód lekarski ma szczytny obowiązek niesienia pomocy w cierpieniu, w walce ze śmiercią nie zna rozróżnień, jest międzynarodowy w pracy naukowej. Zawód adwokacki ma także swój szyld odświętny. Jest tam i etyka zawodowa i poszanowanie prawa. Niedawno wpadły mi w ręce dwie enuncjacje obu tych zawodów, w dość groteskowy sposób próbujące pogodzić swe szyldy świąteczne z apetytem na orgję szowinistyczną. Na zjeździe prezesów kół medycznych w Polsce, który się odbył pod przewodnictwem p. Borysa Schnittera, powzięło uchwałę, że światem rządzi Bóg i że trzeba walczyć z zalewem żydostwa. Rosyjskie imię i niemieckie nazwisko prezesa dają dość specyficzny posmak tym kombinacjom sowiecko-hitlerowskim z lokalną domieszką religijną. Wydawałoby się, że lekarze walczyć z zalewem żydostwa mogą najskuteczniej przez nieudzielanie pomocy nawet najbogatszym pacjentom Żydom. Narazie jednak ten prosty sposób niema wielu zwolenników. Znacznie bardziej podoba się ograniczanie konkurentów. Koła medyków nie zdobyły się również na stworzenie ghetta dla środków medycznych wynalezionych przez Żydów. Jeśli medycyna jest zażydzona, to nie przez lekarzy-Żydów, bo ci mogą co najwyżej „zażydzać cukiernie czy teatry warszawskie". Medycyna jako nauka jest zażydzona przez różnych Funków i Freudów, żeby ograniczyć się tylko do jednej litery alfabetu. Koledzy młodych medyków, adwokaci, wydali interesujący „regulamin adwokacki". § 7 mówi o tem, że adwokat Polak „nie powinien wyciągać ręki do adwokata-Żyda, lub uchylać kapelusza". Jest to przepis bardzo subtelny. Wynikałoby z tego, że podać rękę adwokatowi Żydowi można, o ile Żyd wyciągnie rękę pierwszy, ale do tego czasu trzeba stać i czekać. O podawaniu ręki klientom Żydom regulamin nic nie wspomina. Oczywiście, złodziej, zbrodniarz czy szantażysta, jeśli przyniesie forsę, godzien jest uścisku dłoni, ale adwokat-narodowiec, któryby podał rękę Berensonowi, skreślony zostanie jako „szkodnik". Biedna stara etyka musi się kurczyć i wykręcać aby znaleźć sobie miejsce w tych nowych ramach ideowych.

O wiele prościej i harmonijniej brzmi imponująca w swej plastyczności krótka wiadomość, którą podało „Słowo" wileńskie: „Do władz administracyjnych w Warszawie wpłynęło podanie w sprawie zalegalizowania statutu niemieckiej organizacji hitlerowskiej „Deutsche Volksgruppe in Polen". Jednym z założycieli jest p. Alfred Kolf. Nazwisko to nic nie mówi dla szerokiego ogółu, wtajemniczeni jednak wiedzą, że jest to prawdziwe nazwisko kata Maciejewskiego — Maciejewski to tylko jego katowski pseudonim". Oczywiście, nikt nie posądzi organu Cata Mackiewicza aby chciał ośmieszać Kata Maciejewskiego jako hitlerowca. Wiadomość o tem podaje nie żadna żydokomuna ale organ sympatyków hitleryzmu. Kat na czele stronnictwa hitlerowskiego, naturalnie, kat z toporem w ręku — oto obraz, który powinien być uwieczniony na pamiątkę czasów, w jakich żyjemy. W całej tej sprawie jest jeszcze pewna strona dość charakterystyczna. „Słowo" wileńskie dodaje w komentarzu, że nie zdołało ustalić czy chodzi o osobę tego samego Alfreda Kolfa. Fakt ten jest niemal równie przerażający jak zawód szefa stronnictwa hitlerowskiego. Jakże to? Od czego są dziennikarze? Zdawałoby się, że niema dla dziennikarza bardziej wymarzonej sprawy niż właśnie ustalenie takiego faktu. We Francji czy w Anglji Alfred Kolf byłby już od tygodnia oblegany przez reporterów. W Ameryce wszystkie pisma byłyby zawalone fotografjami kata-polityka. Prasa rozreklamowałaby kata, stworzyłaby mu taką popularność, że kto wie czy nie zdobyłby naprawdę przy najbliższych wyborach stanowiska mera Chicago albo prezydenta senatu. Ale my jesteśmy biednym krajem. Dziennikarzowi nie chce się za te parę złotych latać po katach. Aldous Huxley, gdyby wiedział o tym hyperprzedstawicielu uczuć „numenalnych", przyjechałby z Meksyku prosto do nas. Jesteśmy krajem bardzo egzotycznym, i mam wrażenie, że propaganda turyzmu powinna rozreklamować tego kata — narodowego socjalistę.

Antoni Słonimski.

Metodą Mary Mayer pielęgnują urodę tylko te Panie, które stosują do zabiegów kosmetycznych oryginalne preparaty laboratorium Mary Mayer, Preparaty te można nabywać wyłącznie na terenie Szkoły — Atelier — Laboratorium Mary Mayer w Warszawie, Królewska 2.

i będzie mogła polecieć, bo jest już zbędna od chwili, kiedy się ukazały żelazka elektryczne.

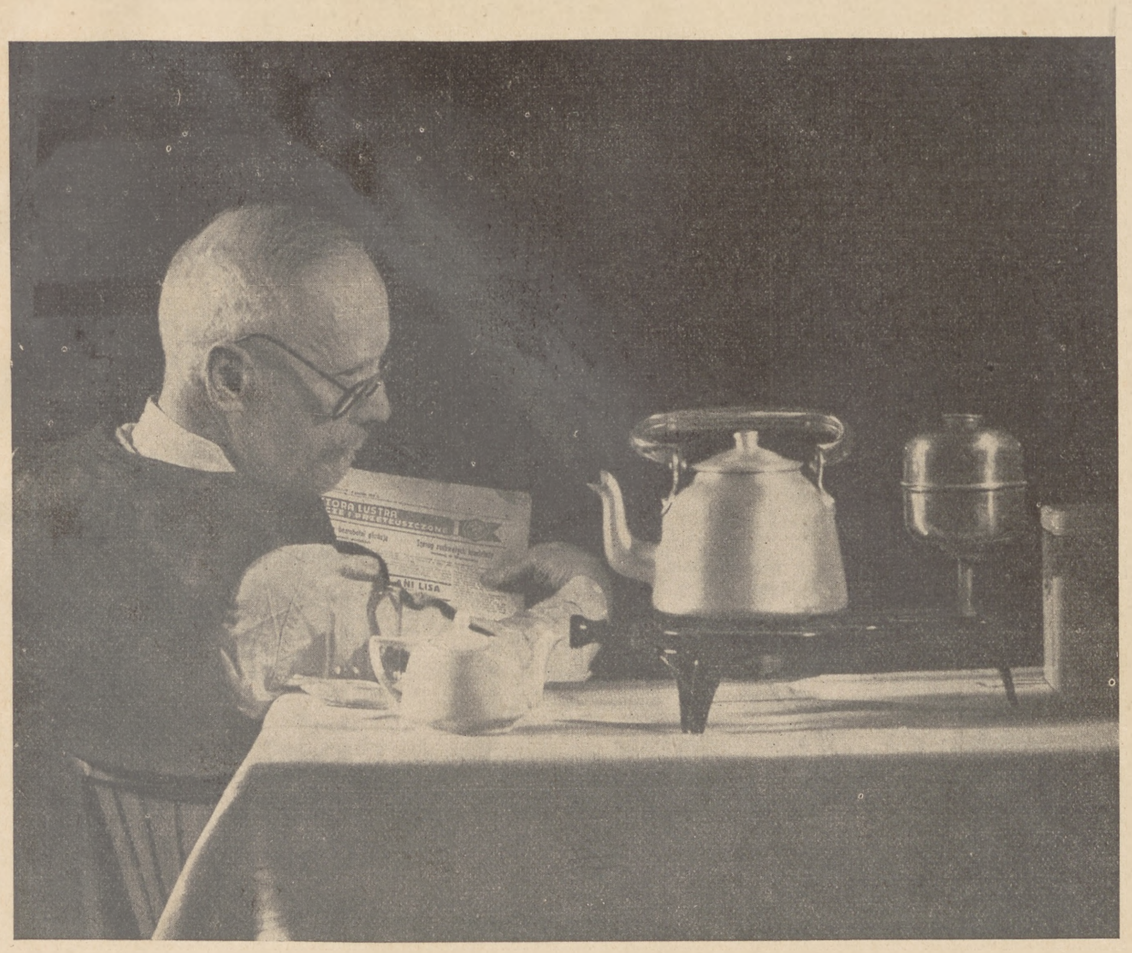

Kuchenka spirytusuwa EMES — przyjaciel człowieka samotnego

W poprzednim 32-stronicowym numerze (738 - 9) „Wiadomości Literackich" (72 ilustracje): Andrzej Strug. — Zł 2 000 i zł 500 za najwybitniejszą książkę r. 1937. Nagroda wydawnictwa i nagroda czytelników „Wiadomości Literackich". — Nowy konkurs „Wiadomości Literackich". Reinkarnacja pana Grypsa. Projektował i wykonał **Marjan Eile.** — **Aleksander Brückner:** Dwoje skrzywdzonych. — **Marceli Handelsman:** Książę Adam. Próba charakterystyki psychologicznej. — **M. J. Toporowski.** Puszkin rozmawia z carem na Kremlu. — **Edouard Herriot,** przełożył **Tadeusz Żeleński (Boy):** Fryderyk Chopin i George Sand. — **Adolf Nowaczyński:** Chopin u Borakowskiego. Z opowiadań Kolberga. — **Juljan Tuwim:** O naśladowaniu obcych języków. — **Juljan Krzyżanowski:** Autor „Boru" — Wacław Żmudzki. — **Witold Leonhard:** Europa lubi być porywana... — **Levitt i Him:** Przesyłka zawierająca 20 piór. — **R. W. Howard,** przełożył i uzupełnił **Władysław Besterman:** Przedwczesny rozejm. — **Jerzy Zaruba:** Peryferje. Z cyklu „Miasto". — **Jarosław Iwaszkiewicz:** Ucieczka Zamoyłły. — **Zdzisław Czermański,** rysunek **autora:** Ciocia Fela. — **Antoni Słonimski:** Listki z drzewa czarodziejskiego. — **Stefan Godlewski.** O kostjum Królowej Korony Polskiej. — **Ewa Szelburg-Zarembina:** Kocur z kamienicy Książąt Mazowieckich. — **Bruno Winawer:** Czerwone Szyszaki czyli honor literatury. Bajka. — **Jakób Bickels,** projektował **Andrzej Nowicki:** Sytuacja poetyczna w Polsce w r. 1937. — **Lucjan Szenwald:** Ballada o trzech rzezimieszkach. — **Tadeusz Hollender:** Opowieść o rękach Kradzimierza Cudzobiorskiego, złodzieja. — **Karol Stromenger:** Koncerty warszawskie. — **Stefanja Zahorska:** Nowe filmy. — **Mieczysław Wallis.** — Wystawy w „Zachęcie". — **Stanisław Brucz:** Życie umysłowe. — Korespondencja. — Camera obscura. — Marjan Rentgen w „Cyruliku". — 10 lat temu. — Tydzień bibljograficzny.

CAMERA OBSCURA

VENUS

Przedsiębiorstwo kosmetyczne p. Henryka Żaka w Poznaniu posługuje się dla reklamy niebyle kim: samą panią **Venus** Milońską. Nieznany nam bliżej starogrecki poeta ułożył dwuwiersz, brzmiący: „Venus z Milo gdyby żyła, Tropika mydłem by się myła" — dołączono tę perełkę liryki antycznej do podobizny bogini i klisze rozesłano do pism...

A pisma jak pisma, wiadomo: każde ma swój program i swoje poglądy. Taki np. „O r ę d o w n i k" (nr. 269) uważał, że wszystko w porządku, ale rąk niema. Dorobił więc bogini ręce, ale jak widzimy, [illegible] piękny biust:

Gdy ogłoszenie przybyło do „P r z e w o d n i k a K a t o l i c k i e g o" (nr. 48), p. redaktor zapłonił się zgorszony, zakrył oczy i zawołał: „W tej chwili skasować te dwie okrągłe sztuczki pod szyją!". Włożono więc bogini koszulkę:

I słusznie! Bo musi być moralność. A „Orędownik" za te piersi bezwstydne w piekle będzie gorzał.

STÓŁ I NOŻYCE

Czytamy w „K u r j e r z e P o z n a ń s k i m" (nr. 552):

Niejaki Marian Kręglewski, pomocnik stolarski z Gniezna, do spółki z jeszcze jednym osobnikiem, o nieznanym nazwisku, wysłał list do Żyda Alie Lipnowskiego w Gnieźnie, aby ten złożył w określonym terminie w hallu 3 tys. zł. gotówką, w przeciwnym razie do składu Lipnowskiego rzucona będzie bomba.

Na skutek wszczętych dochodzeń aresztowano Mariana Kręglewskiego, który, j a k s i ę o k a z a ł o, n i g d y n i e b y ł i n i e j e s t c z ł o n k i e m S t r o n n i c t w a N a r o d o w e g o.

A czy się kto panów o to pytał?

MŁODZIENIEC I RÓŻA

Z książki Victora Mussoliniego „Lot nad Etjopją":

Zbliżyliśmy się niepostrzeżeni i natychmiast zrzuciliśmy nasz zapas bomb eksplodujących. Jedna z grup kawaleryjskich nieprzyjaciela ugodzona w sam środek bombami, zrobiła wrażenie róży rozchylającej swe listki. Był to doskonały żart. Dolecieliśmy bowiem dość nisko i dlatego nieprzyjaciel stanowił wspaniałą tarczę, w którą trafić nie było trudno...

...Najwięcej przyjemności doznałem wówczas, gdy usiłowałem trafić stojącą samotnie dużą chatę. Trzykrotnie okrążyłem to miejsce, zanim udało mi się wycelować. Wkrótce ukazały się płomienie a mieszkańcy chaty zaczęli wyskakiwać, chcąc uciec przed bombami.

(„C h w i l a" wieczorna, nr. 1 000)

„ŚWIADEK"

Mówi się, że literatura jest zwierciadłem życia. „M a ł y D z i e n n i k" (nr. 324) dowiódł, że jest odwrotnie. W artykule o niszczeniu linji telefonicznych na kresach pisze autor, że **b y ł ś w i a d k i e m** badania przez policję chłopaka wiejskiego, schwytanego na gorącym uczynku wykręcania zakrętek z szyn kolejowych.

Spytany w jakim celu to robił, powiedział, że dlatego, ponieważ były mu potrzebne, jako ciężarki do pogrążania w wodę sieci rybackich.

— Bo to i dziurkę mają w środku i wszystkie są równie ciężkie — tłumaczył naiwnie — u nas je cała wieś używa...

— Czy nie wiecie, że to może pociągnąć za sobą katastrofę — przerwał mu przodownik — i śmierć wielu ludzi?

— A jakże, wiemy, panie komendancie — zapewnił go winowajca — ale tam jest trzy muterki, tak my jedną zostawuim, coby relsy nie wykręcili się i pociąg móg przejść...

Jak widzimy, nie literatura odzwierciedla tu życie, lecz ono żywcem ukradło literaturze tę scenkę ze znanej noweli Czechowa „Złoumyszlennik", powtarzając dosłownie dialog sędziego z chłopem Denisem Grigorjewem.

Tego wynalazku korespondenta „Małego Dziennika" nie należy lekceważyć. Przed prasą otwierają się ogromne możliwości.

UKARANA LEKKOMYŚLNOŚĆ

„E x p r e s s P o r a n n y" (nr. 259):

W czasie przechadzki prezydenta Stanów Zjednoczonych Roosewelta po Hyde Parku w Waszyngtonie, nieznani sprawcy zakradli się do jego piwnicy i wynieśli z niej cenne zapasy win i likierów.

Zamiast pilnować piwnicy, chodzi sobie pan prezydent na spacery! Teraz ma za swoje.

MŁYNEK

Pan Ludwik Młynek wydał w Krakowie (1937) poemat antysemicki „T e s t a m e n t L e c h a", w którym twierdzi, że

Między Świabami co drugi Żyd.

Koncepcja dość śmiała. Nie mniej śmiały jest p. Młynek w alegorjach natury erotycznej:

I tylko Janek ze Zośką swą
Do końca nocy nic nie spali:
Masło na wierzchnik, bo tak go zwą,
Tockiem z maśnicy dobywali.

A już najśmielsze są chwyty stylistyczne p. Młynka:

Bo co gromada jest taka wart,
Jeźli nią podły kieruje czart...

Na piersiach mu się złoty krzyż lśniąc,
Miał na około hafty śliczne...

Śmiałe, nowe, zdrowe. Wszystko w sam raz.

ARYJCZYK I SZALONA

„Rassenschwindel" (tak nazwał to Nietzsche) przedostał się już do reklam. Pomysłowy stolarz krakowski ogłasza się w „I. K. C." (nr. 219):

Aryjczyka zapraszam na wypoczynek. Opieka troskliwa zapewniona. — Wygodne materace włósienne, elegancki tapczan, otomanę, jedwabną kołdrę, salonik, łotel-łóżko, kluby, łóżeczko dziecinne, story, dostarczy i t. d. **Szalona.**

O współpracę czytelników „Wiadomości Literackich" w „Camera obscura"

CO TYDZIEŃ ZŁ. 25.— NAGRODY

Zwracamy się niniejszem do czytelników „Wiadomości Literackich" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura". Prosimy o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materjałów, jak broszury, ulotki, czasopisma (w postaci całych numerów lub wycinków nie pozostawiających wątpliwości skąd pochodzą) z ustępami kwalifikującemi się do „Camera obscura" pod adresem: Warszawa, Królewska 13, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne, wystarczy surowy materjał. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materjału i zastrzega sobie prawo wyzyskiwania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości zł. 25.—, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

W ubiegłym tygodniu suma nagród zostala podwyższona do **zł. 40.—** Otrzymują: **zł. 20.—** p. **Antoni Pośpieszyński w Poznaniu** (Spokojna 31) za zestawienie ogłoszeń z „Orędownika" i „Przewodnika Katolickiego", **zł. 10.—** p. **Stefan Filipiak w Ostrowiu** wielkopolskim (Wrocławska 26) za wycinek z „Kurjera Poznańskiego", **zł. 5.—** p. **Franciszek Grund we Lwowie** (Batorego 6) za wycinek z „Chwili", **zł. 5.—** p. **Halina Zieleninówna w Wilnie** (Piotra Skargi 17) za wycinek z „Małego Dziennika".

WYTWORNE Rękawiczki damskie i męskie Józef Rottel i S-ka
CENY FABRYCZNE
Wierzbowa 11 (pl. Teatralny)

NAGRODA M. POZNANIA

STANISŁAW WASYLEWSKI:
otrzymał literacką nagrodę Poznania za rok 1937

SPROSTOWANIE KONKURSU
„REINKARNACJE PANA GRYPSA"

W konkursie p. n. „Reinkarnacje pana Grypsa", ogłoszonym w nr. 738-9 „Wiadomości Literackich", przez pomyłkę przestawiono rys. 16 z rys. 15.

Na stronie 3, rysunek oznaczony **15** winien być na miejscu rysunku szesnastego, natomiast rysunek **16** powinien figurować wcześniej jako rysunek piętnasty.

Równocześnie zostaje przedłużony termin nadsyłania odpowiedzi na powyższy konkurs do dnia 4 stycznia 1938 r.

Tajemnica powodzenia
SUPERHETERODYNY 7 OBWODÓW
DOSKONAŁA SELEKTYWNOŚĆ • 5 NOWOCZESNYCH LAMP PHILIPS MINIWATT (ŁĄCZNIE Z LAMPĄ PROSTOWNICZĄ) • BARDZO CZUŁY SAMOCZYNNY „ANTIFADING" • CIĄGŁA REGULACJA BARWY TONU • PIĘKNY TON DZIĘKI SPECJALNEMU GŁOŚNIKOWI ELEKTRODYNAMICZNEMU (BEZ SZUMU TŁA I BEZ GWIZDÓW SUPERHETERODYNOWYCH) •
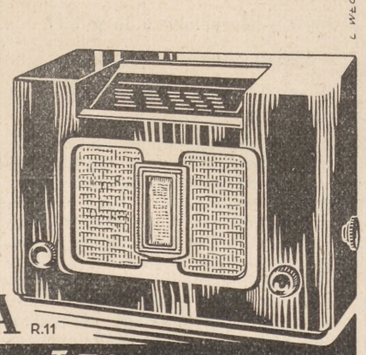
PHILIPS Super 438A R.11
Cena gotówkowa zł. 340.-
lub przy zaliczce na raty — po zł. 24 10 mies.

W listopadzie b. r. zaczął wychodzić w Krakowie miesięcznik dla dzieci „Nasi Przyjaciele". Pisemko to, bogato ilustrowane, wydawane przez krakowski Związek Opieki nad Zwierzętami, jest przeznaczone dla młodzieży zrzeszonej w t. zw. kółka młodych przyjaciół zwierząt i redagowane... przy współudziale dzieci. Ujmuje ono sprawy ochrony zwierząt w specyficzny, oryginalny sposób. Zdaje się poruszać właściwą strunę, o czem świadczy także ogromne zainteresowanie dzieci nowym miesięcznikiem.

Maison Bachtach
Robes-Manteaux
Warszawa I, Alberta, — 1 tel. 6-58-46

PO GOLENIU-AQUA VELVA
ujędrnia tkankę, nadając twarzy rasowy, ujmujący wygląd. Używajcie do golenia kremu Williamsa

Dwa razy daje — kto szybko daje
Złóż dziś ofiarę na Pomoc Zimową!
Konto P. K. O. 70.200
Pomoc Zimowa

Być piękną - chyba to warte niewielkiego wysiłku!
Uroda to najcenniejszy skarb kobiety. Tylko racjonalnie pielęgnowana cera może być naprawdę piękna. Kobieta pielęgnująca swoją urodę, roztacza wokół siebie promienną radość, pogodę i wzbudza powszechny zachwyt. Należy tylko parę chwil poświęcić codziennie pielęgnowaniu cery! **Three Flowers Vanishing Cream** i słynny **Three Flowers** puder, stosowane łącznie, nadają cerze wiośnianą świeżość, o jakiej marzą wszystkie kobiety.

HUDNUT
PARIS — NEW YORK
THREE FLOWERS PUDER i KREM

10 LAT TEMU

Nr. 209 „Wiadomości Literackich" przynosi artykuł Pawła Hulki-Laskowskiego o poezji proletarjackiej p. t. „Poezja szlachetnego nieporozumienia". Hulka udowadnia, że „poezja proletarjacka jest nieporozumieniem, bo proletarjanizm jest czemś tymczasowem co powinno zniknąć jak najprędzej". Zresztą „forma i treść polskiej poezji proletarjackiej jest dla robotnika wszystkiem, tylko nie poezją. Mamy tu maszyny, lokomotywy, robotę w fabrykach, agitatorów, prowokatorów, szpicli, słowem, to wszystko od czego robotnik ucieka w święta na wieś, do lasu, na łąki". W gruncie rzeczy „dla inteligentnego robotnika bliższy jest Wittlin z motywem zbratania i pojednania wszystkich z wszystkimi, Słonimski z potężnemi akordami końcowemi „Wieży Babel", Wierzyński z liryką miłosną" niż t. zw. poeci proletarjaccy. „Proletarjusz, to ubogi człowiek, ale **człowiek** nie różniący się niczem od ludzi sfer uprzywilejowanych, chyba tylko brakiem pieniędzy. Jeśli droga do socjalizmu prowadzi przez kapitalizm uniwersalny, to droga do poezji proletarjackiej może i musi prowadzić przez Mickiewicza, Kasprowicza, Tetmajera. Dzisiaj — poezję proletarjacką odczuwają tylko snobi literaccy. Proletarjat jej nie rozumie". — Dalej znajdujemy w numerze szkic Adama Ważyka o Apollinairze, myśli o sporcie Giraudoux w przekładzie Witolda Mieczysławskiego, fragment powieści L. H. Morstina o Koperniku, recenzję Stefana Kołaczkowskiego z „Elegij" Żeromskiego i Antoniego Słonimskiego z książki ks. Mieszkisa „Wojna".

Całą stronicę zajmuje sprawozdanie z procesu, wytoczonego Słonimskiemu i redaktorowi „Wiadomości Literackich", oskarżonym o znieważenie Artura Śliwińskiego, „dyrektora teatrów miejskich, a więc osoby urzędowej, spowodu pełnienia przez niego obowiązków służbowych", przez nazwanie go „ignorantem i karjerowiczem" (w recenzji Słonimskiego z okropnego przedstawienia „Snu srebrnego Salomei"). Jako pełnomocnik p. Śliwińskiego występował adwokat Wacław Szumański, bronił oskarżonych Józef Wasserberger, świadkowie Wilam Horzyca, Leon Schiller i Władysław Zawistowski oświetlili rolę Teatru im. Bogusławskiego, zamkniętego za rządów p. Śliwińskiego, przypominając odezwę polskiego świata intelektualnego, który stwierdził że „zamknięcie tego teatru okrywa wstydem wszystkich, którzy do tego przyłożyli rękę". Odezwę tę podpisali między innymi Boy-Żeleński, Choynowski, Daniłowski, Dębicki, Goetel, Iłłakowiczówna, Irzykowski, Kaden-Bandrowski, Lange, prof. Zygmunt Łempicki, Makuszyński, Oppman (Or-Ot), Przesmycki (Miriam), prof. Przychocki, Sieroszewski, Staff, Strug, prof. Ujejski, prof. Zieliński. W rezultacie rozprawy sąd skazał oskarżonych na dwa tygodnie więzienia, stwierdziwszy w motywach, że „nie działali z pobudek natury osobistej".

W notatce p. t. „Ohyda" czytamy:

„Dn. 23 ub. m. uległ nikczemnej napaści niewykrytych do tej pory bandytów znakomity pisarz Adolf Nowaczyński. Bez względu na takie czy inne przekonania polityczne i społeczne, bez względu na takie czy inne poglądy na metody działalności publicystycznej — każdy uczciwy człowiek potępi bez wahania i bez żadnych zastrzeżeń krwawy gwałt dokonany na bezbronnym autorze. Zanim — o czem nie wątpimy — odezwie się ze słowami protestu **całe** pisarstwo polskie — redakcja „Wiadomości Literackich" pozwala sobie wyrazić Adolfowi Nowaczyńskiemu najżywsze współczucie.

„Ponieważ prasa warszawska chwilami kieruje się obyczajami dżungli, a pewne pisma lewicowe uznały nawet tę chwilę za stosowną do załatwienia w niesmacznej formie swoich porachunków z ciężko skrzywdzonym pisarzem — na tem wytniejsze podkreślenie zasługuje stanowisko „Expressu Porannego" i „Kurjera Porannego", które — w bezwzględny zawsze sposób zwalczane przez Nowaczyńskiego — zdobyły się na uczciwe, szczere i pozbawione wszelkiej dwuznaczności potępienie bestjalskiego samosądu".

naresztcie znalazłem!

ZIOŁOWY KREM DO GOLENIA o orzeźwiającym zapachu ziół leśnych
ETOL mydli się idealnie zmiękcza zarost i skórę spełnia jednocześnie rolę mydła do golenia i kremu udelikatniającego cerę.
ETOL
wł. W. KILTYNOWICZ
Do nabycia we wszystkich większych firmach

W.C.
MATERIAŁY ANGIELSKIE
Otrzymaliśmy ostatnie nowości sezonu
„English Woollen Comp."
Sp. z o.o.
Warszawa Ossolińskich 2. Telefon 652-44.

PODCZAS ŚWIĄT
butelka org. koniaku
HENNESSY
będzie mile widziana!
HENNESSY nazwa ta ustaliła renomę koniaku

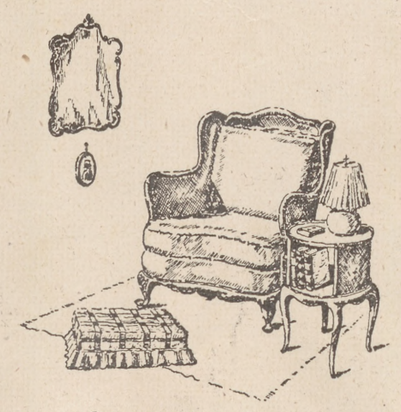
MEBLE Stylowe i NOWOCZESNE
OBEJRZENIE NIE OBOWIĄZUJE DO KUPNA
Otto Pfefferkorn
BYDGOSZCZ
WARSZAWA-BIELAŃSKA 4
KATOWICE-PIERACKIEGO 10

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą zł. 12.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 szpalty 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Kolumna ma 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 10, tel. 2-42-82, poniedziałki i czwartki w godz. 17 — 19 oraz wtorki w godz. 11 — 12. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04, codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, w godz. 9 — 19. Konto w P. K. O. 8.515

Drukarnia Galewski i Dau, Warszawa, Ordynacka 6.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI